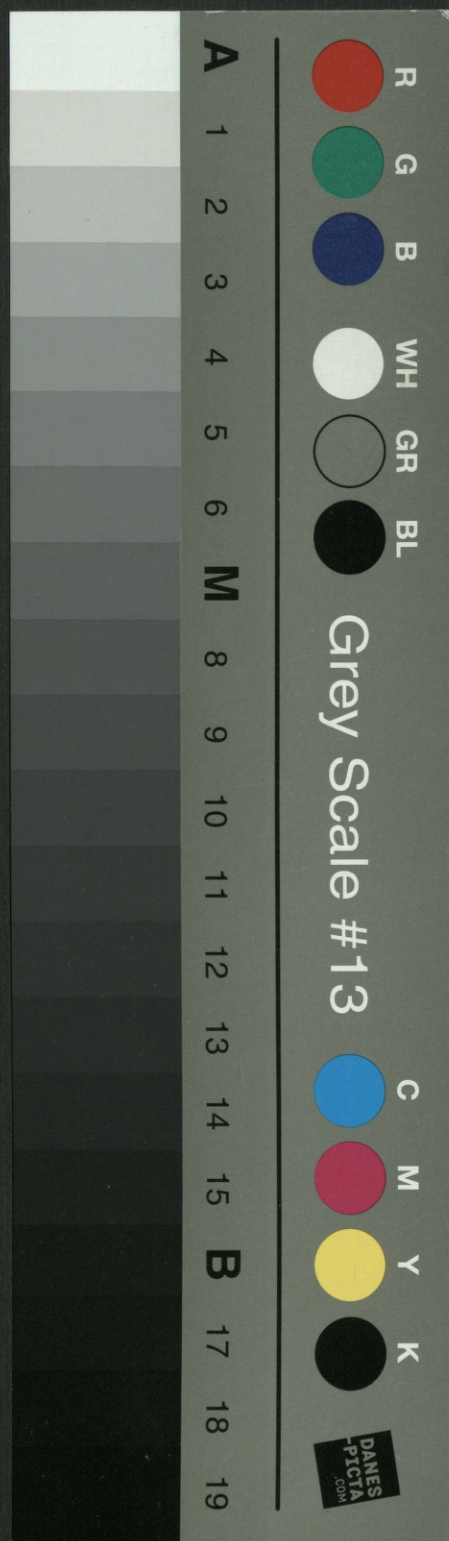
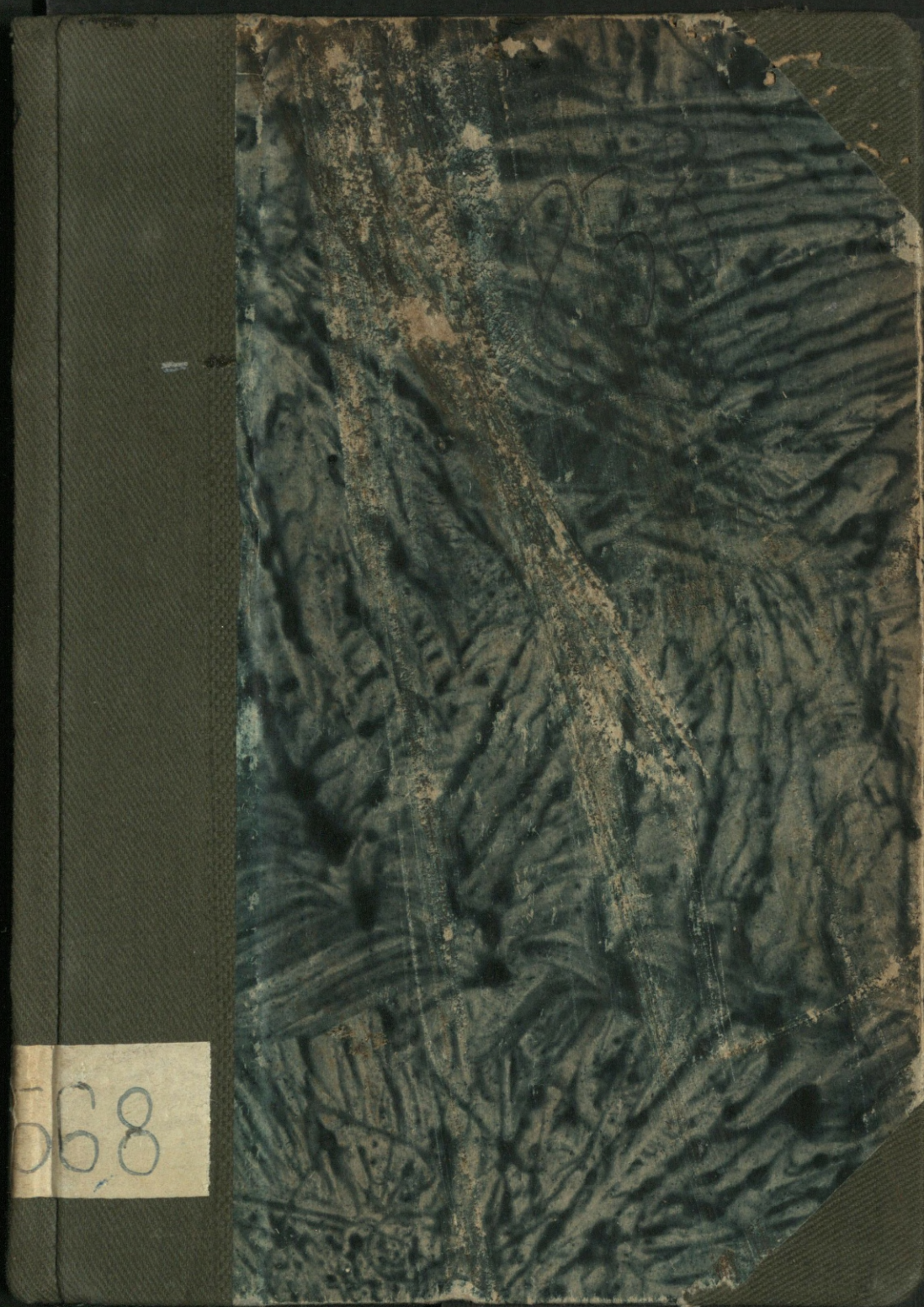
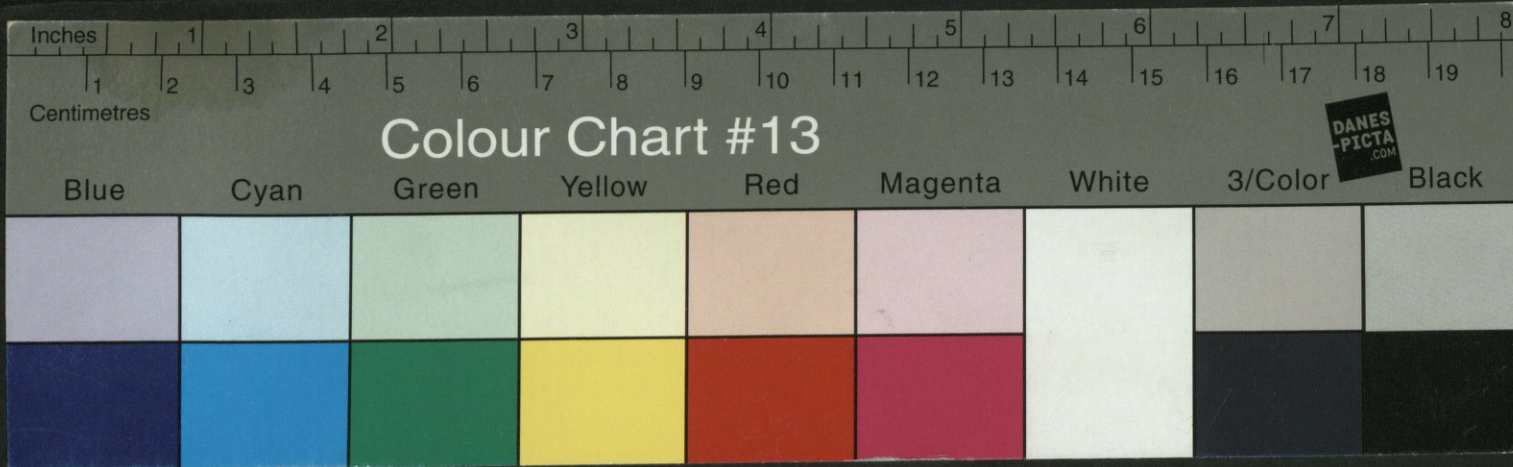




568

WSPOMNIENIA
LEKARKI LEGIONOWEJ

X

7.5

DR JULIA ŚWITALSKA-FULARSKA

WSPOMNIENIA LEKARKI LEGIONOWEJ



5-83

6170

Copyright 1987 by S. Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa
Zdany: Grafika 50. Książnica-Atlas we Lwowie

KSIAŻNICA-ATLAS * LWÓW-WARSZAWA

HONORARIUM AUTORSKIE ZA TĘ KSIĄŻKĘ PRZEZNA-
CZYŁA AUTORKA NA FUNDUSZ OBRONY NARODOWEJ

9988/1



OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ KONSTANTY M. SOPOČKO

2749

Copyright 1937 by S. A. Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa
Zakłady Graficzne Sp. Akc. Książnica-Atlas we Lwowie

E VII

ZAMIAST WSTĘPU

Garść wspomnień rzucam w świat zdarzeń odległych, lecz niemniej przez to prawdziwych, znaczących krwią, łzami i śmiechem.

Starsi obywatele — towarzysze przeżyć wojennych, niech odnajdą siebie, młodszy — niech podziwiają, jak z Izb Chorych, Szpitalików, Szpitali polowych — powstał wielki, potężny Sanitariat w Polsce Niepodległej.

J. S.-F.

I

LWÓW 1914 R.

WOW 1914 R.

Trudno dziś odgrzebać w pamięci uciekające obrazy, choć pod powiekami snują się one niezmordowanie — migają — lśnią. Czasem zdaje się, że to sen, a najmniej rzeczywistość, w odległości swojej jednak dziwnie żywa i świeża. Trzeba usiąść i uchwycić mocno nic tych wspomnień, przelewając na papier „ROK 1914“.

Morderstwo serajewskie — piorun w mikroskopijnym państewku, a echo na cały świat. Wypowiedzenie wojny — nagły wstrząs, nagła mobilizacja. Lwów demonstruje przed Namiestnictwem. Życie powszednie bierze tempo szalone, wojska maszerują, młode, nowozaciężne chłopaki i stare chłopcy, rezerwa. Baby wśród nich, w szeregach niosą na ramionach plecaki mężów i synów. Niech by który pan sierżant coś powiedział! — spróbowałby. Ale żaden pan sierżant się nie odzywa, więc idą szeregi żołnierzy i bab, i wlecze się sznur wozów, naładowanych sprzętem wszelakim — zgłodniałymi dzieciakami, dobytkiem nędzarzy.

Coraz bliższe okolice ewakuowane — coraz bliższy nieprzyjaciel. Wreszcie bitwa pod Lwowem

rozstrzygająca. Ranni na korytarzach — wszystkie łóżka w szpitalach zajęte — położnice wywlekane z legowiska — komu dziś czas rodzić!? Miejsca dla rannych!!! miejsca dla rannych!!! a korytarze i dziedzińce niczego już pomieścić nie mogą. Na ulicy więc leżą ranni i chorzy, bezradni, tępi, bez pomocy i opieki, prawie wszyscy bowiem lekarze zostali powołani do wojska austriackiego. Pozostali tylko nieliczni chirurdzy i my „embriony“ lekarskie.

Pracowaliśmy, ponad siły, padając ze znużenia — bez usypiania amputowaliśmy ludzkie kończyny i dokonywaliśmy okrutnych cięć. Narkozą dla cierpienia był ciężki ze zmęczenia sen...

*

Straszne momenty przeżywaliśmy. Byłam dyżurną w Szpitalu Powszechnym na Łyczakowie. Zajął go nagle wojsko: usunąć cywilów!! padł krótki rozkaz...

Bitwa wokół — daleko i blisko. Armaty grzmiały pod miastem, o kilkanaście kilometrów, dla naszych niewytrawnych jeszcze uszu, jakby w samym mieście. Rannych przenoszą z placu boju bezpośrednio do naszego szpitala, stał się on już „polowym“. Obłożyliśmy wszystkie łóżka i korytarze ciężko rannymi, lżej rannych odsyłając do domów. Miasto dyszy wyczekiwaniem i strachem, i wśród niehumanitarnej wrzawy pada od czasu do czasu cisza, tak przejmująca,

że aż dławi za gardło. Dzieją się niespodziewane, niezrozumiałe sceny.

Pamiętam jak dziś: późnym wieczorem wpada do nas tłum oszalałych kobiet z rozczochranymi włosami — rysy bólem wykrzywione — istne furie. Jak stado obłąkanych ptaków wlatują do sal i mimo naszego oporu, zrywają po kolei opatrunki z twarzy rannych, rozrzucają nerwowo koce, ze strasznym krzykiem. Szukają po prostu najbliższych. Jest, czy został w polu na wieki?...

Bywały i inne sceny. Jestem z karetką pogotowia na ul. Łyczakowskiej. Nagle: alarm! alarm! ratujcie! władze opuszczają Lwów!! Tłum ucieka główną arterią miasta, którą jest właśnie Łyczaków — konie tratują ludzi — wozy najeżdżają na konie — światła gasną — piekło! Na szczęście alarm był fałszywy. Szczęście krótkie — bo następuje wnet fakt okropny, nie do pomyślenia: alarm prawdziwy, ewakuacja stolicy, rozkaz. Strzelcy, wyjazd!!

*

W ostatniej chwili wpadam do szpitalika św. Zofii na oddział chirurgiczny, do sióstr i dzieci. Chcę się pożegnać z nimi i zabrać niezbędne dla siebie graty, oraz trochę oszczędności, lecz natknęłam się na tak rzewny widok, że zapomniałam o wszystkim; dzieci powypelzały z łóžeczek, w gipsach, w opatrunkach, w szynach, pokłękały na ziemi przed

ołtarzem i, szlochając, powtarzały modlitwę wraz z zakonnicami:

— O Jezusieńku! zmiłuj się nad nami! nie oddaj Lwowa Moskalowi!!!

Nie pożegnałam się, nie byłam w stanie nic zabrać, tak jak stałam, pognałam na dworzec, a w oczach i uszach dzwonił mi płacz lwowskich dzieci:

— O Jezusieńku, nie daj Lwowa Moskalowi!!!

Widoczne już było, że jednak chrobre miasto Moskałom się dostanie. Ulice zalane rannymi, zdążającymi w panice także na dworzec, słabsi padają na chodniki, białe bandaże znaczą jakby płatami śniegu ulicę Karola Ludwika, dziś ulicę Legionów, reszta środkiem jezdni, w cywilnych ubraniach i obdartych mundurkach, tłoczy się w popłochu byle dotrzeć! byle nie stracić ostatniego, ewakuacyjnego pociągu!! Cały Lwów chyba „łapie“ ten „ostatni“ pociąg...

Doprawdy, piekło na ziemi. Nie wiem już, jak dotarłam na dworzec, nie wiem, jak wepchałam się do wagonu. Sama jazda ówczesna jest koszmarem, prześladowującym mnie dotychczas w nocy, w tzw. „strasznych snach“. Widzę wtedy, realnie, burzliwe, upiorne, zatłoczone pociągi — szeregi rąk, chwytających się stopni — ludzi przyczepionych na dachach, lub wiszących kurczowo na ramach okien-

nych, słyszę rozdzierające krzyki matek i pogubionych dzieci, nawzajem się nawołujących, lub szukających nadaremnie. Gdzieś niedołęźnie a gorączkowo suną staruszkowie, prowadzeni przez dzieci i wnuki. Pamiętam i taką scenę: idzie jakiś dziadus z psem. Chrapliwie jęczy:

— Ludzie! Weźcie Azorka! on taki wierny i taki ładny piesek! Jego na pewno Moskale zabiorą! Mnie zostawią, a jego zabiorą, co im po starym! Weźcie pieska!

Nie miałam możności stwierdzić, czy staruszek dostał się do wagonu? czy też ktoś ulitował się nad dolą Azorka?

Jedziemy pod komendą obywatela Mariana Kukiela. — Dziś generał, docent uniwersytetu. Obywatel Marianek bardzo blady, lecz głosem uroczystym i służbowym stara się na próżno wydawać jakieś rozkazy. Nikt z nas, ani on sam nie słyszy mocnych słów tej komendy, słowa jego giną w przestrzeni.

W pociągu tymczasem zdawało się, że koniec świata. Obywatel Maciuś Landau — później pułkownik W. P. i doradca prawny D. O. K. mdleje czy umiera. Cucimy go raz po raz, nie wiedząc, czy dowieziemy żywego. On zresztą zawsze wyglądał tak, że „lepszych do trumny kładą“. W głębi wagonu, niedaleko, dostrzegam, również stojącego, ciężko chorego dr Janka Kawińskiego, obecnie płk.

lekarz. Najukochańszy nasz kolega z medycyny. „Obywatel Janek“, który po Staszku Krynickim objął komendę drużyn strzeleckich kobiecych — nie byle szarża, podówczas, we Lwowie! Cały zlany potem, blady jak płótno, zawleczony tu przez Żanię Łakińską sanitariuszkę, szepcze w kółko zbielełymi ustami:

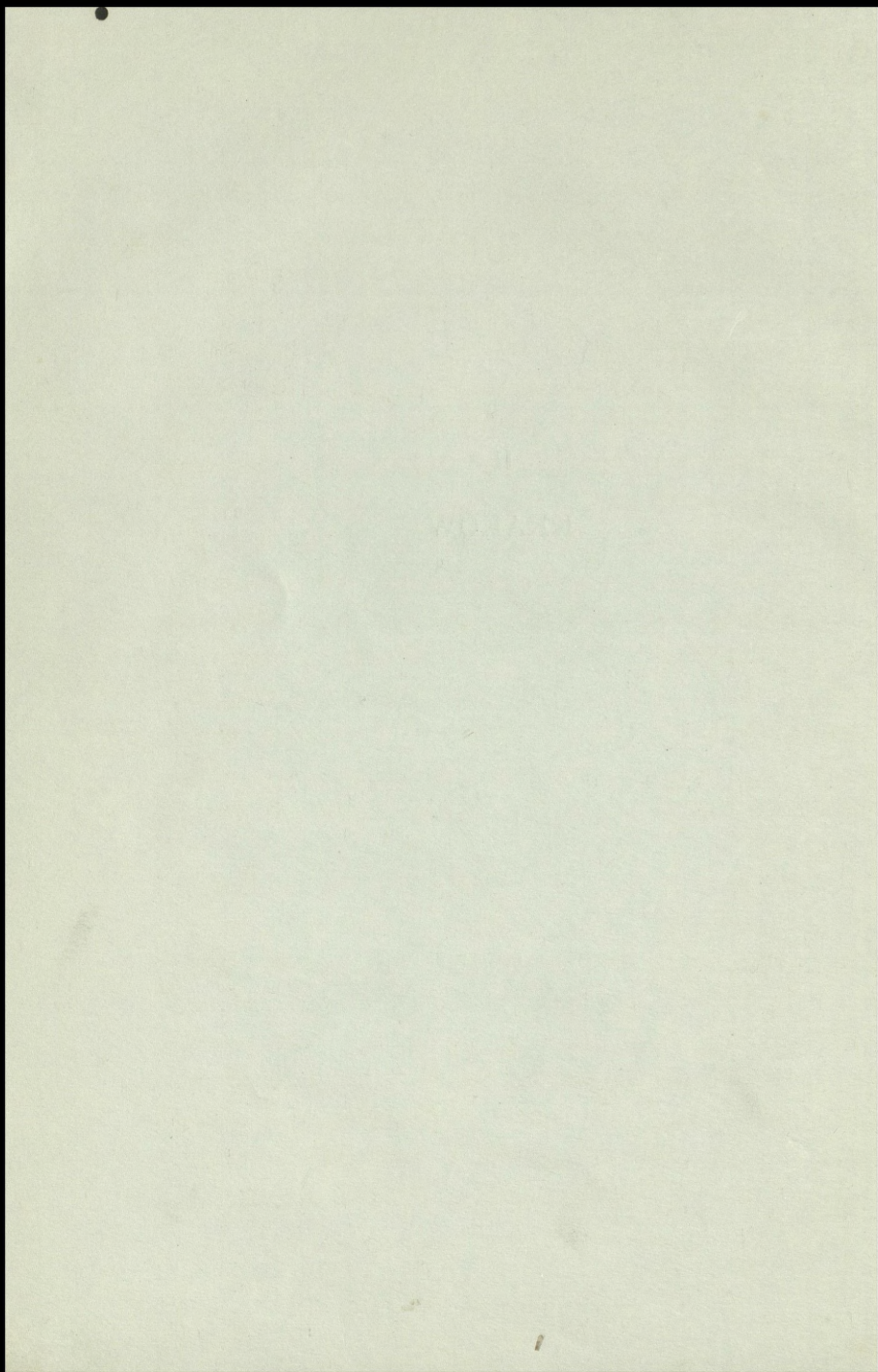
— Nieprawda! nieprawda! nie wierzę! Do Lwowa nie wejdą! a jeżeliby nawet weszli... na chwilę..., to wnet odbierzemy Lwów i całe Królestwo, najdalej chyba do sześciu tygodni, własnymi rękami. A może pożyczymy sobie armatek od Austriaków, — dodaje pojednawczo, — na Modlin i Dęblin.

Jakże daleko jeszcze było do tego, obywatelu Janku!...

II

KRAKÓW





Lądujemy wreszcie w Krakowie. Jednak nie wszystko stracone! Jest Polska jeszcze, chociaż Lwów wzięty! Spójrzcie na ten ruch na ulicach. Wszędzie przemarsze, musztry, ćwiczenia. Oszalniają oddziały, ciągnące jeden za drugim, szare mundury i coraz liczniej — srebrne orzełki na czapkach. Czapka nieraz nie bardzo wojskowa, ale orzełek jest. Idą i austriaccy rekruci — Podhalanie, tacy do rodni, a obok nich chłopaczki młode drepczą morowo, patrzcie! w maciejówkach i w wyfasowanych trochę na wyrost c. k. mundurach. Gdzieniegdzie własny, porządny strój szary strzelecki, reszta w cywilu.

Zatrzymuje mnie przez chwilę rzewny widok: austriacki policjant uczy pilnie i poważnie naszego chłopaczka, jak... obchodzić się z bronią. Gruchoty te stare Werndle, w rękach naszych chłopaków wydają się nam najwspanialszą bronią. Granatowy mundur z bączkiem austriackim: po ojcowsku wyjaśnia drobnemu morusowi w maciejówce, z orzełkiem polskim, jak naładować i rozładować zardzewiały karabin. Wstydzę się — ale muszę wyznać,

że ilekroć patrzę dziś na najuroczystsze nasze defilady — myślę sobie, że żadna już nie zatrze radości i dumy, któreśmy przeżywali, patrząc na defiladę krakowską i na tamte Werndle.

Jak oni maszerowali „ku Polsce“! W mundurach na wyrost, w studenckich ubrankach — gdzieniegdzie stary, nawet trzydziestokilkoletni cywil paskiem podpasany, zadzierzysty, z lakierkami na nogach. Szli, jak stali, dziw, że nie bosili...

Porwała mnie ta fala wiary, entuzjazmu, zgłosiłam się do pracy. Niestety ci, na których liczyć miałam, albo byli już w polu, albo sami nie wiedzieli, co mają robić. Uniwersalny chaos — bałagan, nie tylko w Sanitariacie!

Najwięcej liczyłam na dra Jakowickiego Władysława, obecnie profesora Wileńskiego Uniwersytetu. Był to młody asystent prof. Marsa ze Lwowa, niestrudzony pracownik Związku Strzeleckiego, Chrystusowa postać na ziemi. Był dla nas, studentów Uniwersytetu Lwowskiego, najwyższym autorytetem. Wiedziałam, że on da mi jakąś radę, jakąś dyrektywę. Były to jednak dni, w których nikt nikogo znaleźć nie mógł, gdzie wszyscy się nawzajem beznadziejnie szukali (często nigdy w życiu już nie odnaleźli). Otóż i z obyw. dr Jakowickim nie miałam się spotkać w Krakowie. Był jednym z pierwszych lekarzy, którzy poszli już w pole, pogalopował na swym Bucyfale, najwyższej szkapie w całej I Bry-

gadzie, pozostawiwszy nas wszystkich w beznadziejnej rozpacz i beczynności.

Chodzę więc dalej, jak błędna, po ulicach, o Boże! byle coś komuś móc pomagać! byle mieć zajęcie, byle wyładować energię... A przede wszystkim nie poddać się depresji. Nie miałam dotąd dachu nad głową, nie miałam ani jednej zmiany bielizny, ani też wiele więcej jak 20 koron w kieszeni. Wtem, patrzę, leży coś na ziemi. Podnoszę z trotuaru groszowy grzebyk. Ktoś może zgubił, może wyrzucił w pośpiechu. Jak bardzo się wówczas ucieszyłam tym znalezionym drobiazgiem. Dziś jeszcze przypominam sobie dokładnie tę chwilę i myślę, że nigdy nic nie wyprze w człowieku radości posiadania.

*

Nareszcie dostaję kwaterę, jest i mój mąż, pycha! U Babci Zamorskiej, osobny pokój, dwa małe łóżka żelazne, studenckie — jakże miło mieć pokój osobny! Zanim zdążyliśmy z płaszców się rozebrać, już pukanie do drzwi i — gość w dom. Oczom nie wierzę: Adam Skwarczyński, pseudonim „Stary“, kolega szkolny mego męża, ówczesny komendant wywiadów we własnej osobie. Z uśmiechem wyjaśnia mi, że się dowiedział, iż mamy osobny pokój, że rzecz nie do pomyślenia dla dwóch osób, że konspiracja, że taka kwatera u Babci Zamorskiej to stuprocentowa pewność, a on musi mieć lokal zakonspirowany,

słowem, że lepiej nie mógł trafić. Pogodnie oświadcza na koniec, że może spać w środku, pomiędzy łózkami, gdy się je zsunie razem...

Nie było rady. Spaliśmy więc w trzy osoby, na tych dwóch łózkach i było nam dobrze, choć sędzę, że Staremu mniej dobrze... Zrazu przy każdym swoim żywszym ruchu Stary leżał na podłodze, lecz że na szczęście nie był na ogół ruchawy, więc wkrótce doszedł do takiej wprawy, że ani razu, jak noc długa, nie spadł z łóżka. Co dzień, przecierając z rana oczy — takich oczu nie miał nikt w całej I Brygadzie — meldował nam ze swoim pogodnym uśmiechem:

— „Śniło mi się, że dziś ani razu nie wypadłem z łóżka, nieprawda?”

Świetnie było u Babci Zamorskiej. Maryna, niania Kordiana (dziś generała), wносиła coraz to nowsze i wyrafinowane półmiski z pierogami, wędzonką lub grochem i całe hektolitry herbaty. Skąd się to bractwo wokół stołu Babci Zamorskiej brało? Wiadomo, koledzy Kordiana. W każdym bądź razie jadło bez przerwy i to w zastraszających ilościach. Ciepło i bardzo serdecznie było nam w tej naszej kwaterze. Wzbudzaliśmy powszechną zazdrość. Tylko Kordiana nie było, dawno już pomaszerował w pole.

*

Nie oddawałam się zbyt długo rozkoszom naszej kwatery, szukałam wciąż przydziału. Sanitariat, przepełniony młodziutkimi dziewczętami, przeważnie studentkami z domów inteligentnych, nie mógł ich zająć, więc pętały się wszędzie, wnosząc zapal, zapominając w większości wypadków o kwalifikacji. Śp. obywatel Staszek Krynicki, pierwszy poległy oficer Związku Strzeleckiego (utonął w Wiśle pod Korczynem 18. IX. 1914 r.) twórca lwowskich kadr kobiecych, gorący zwolennik pracy kobiet, kiwał głową żałośnie:

— Boże zmiłuj się! Nabraliśmy tych bab bez liku i co teraz z nimi robić? Do domu odesłać ani rusz, bo Moskał zajął całą Galicję Wschodnią, a tu? Desperacja!

Na wszelki wypadek, aby im nadać wojennego drygu, zamianował „Dąbrowę“ (Antoniewiczówna, studentka uniwersytetu) komendantką obywaterek Strzelczyń i kazał meldować się im dwa razy dziennie i czekać „póki co“.

Na czele Strzelczyń stała tedy obyw. Dąbrowa — Dąbrowo! Dąbrowo! co się z Tobą stało? Nigdy Cię więcej nie spotkałam na drodze mego życia... A szkoda, bo tak ładnie, dostojnie przyjmowałaś meldunki i kazałaś wybijać „einzigi“ biednym, zastraszonym dziewczątkom...

Moja energia uczyniła swoje. Nie opuszczałam rąk. Wiedziałam, że wszędzie przepełnienie i chęć-

nych rąk do pracy aż za dużo, ale wiedziałam też, że panuje taki chaos, nie tylko w naszych szpitalach, lecz nawet w austriackiej regularnej armii, z wyszkolonym personelem sanitarnym. Dość, że wspomnę o jednym zabawnym incydencie. Oto jeden z profesorów uniwersytetu, działający z ramienia Czerw. Krzyża, miał polecony znaczniejszy zakup dla szpitali. Wyszedł, przejęty swoją rolą na miasto i nabył... paręset nocników, uważając, że to są na wojnie najważniejsze przedmioty. (Z głębokim westchnieniem żalu wspominałam o tym później na Śląsku, w pawilonach zakaźnych, gdzie nie było ani jednego.)

W intendenturze też nie lepiej się działo. Jakiś laik z N. K. N. zamówił dla saperów pochewki do łopatek. Co się po tym okazało. Ani rusz łopatki nie mogły się zmieścić do pochewek. A więc wisiały beztrosko przy paskach obywateli legunów, saperów, łopatki sobie, a pochewki sobie. Na szczęście nie było ich wiele.

Pocieszny to był widok.

Szpitali polskich w ścisłym tego słowa znaczeniu nie było jeszcze, mieliśmy tylko wyznaczone dla naszych Strzelców pewne sale, do których mało kto z naszych się dostawał. Trzeba koniecznie było zorganizować jakieś dyżury na dworcu, skąd chorzy byliby już planowo rozdzielani. Zwłaszcza zrozumiałam znaczenie takich dyżurów, kiedy zdarzył się

w Krakowie fakt tragiczny: mianowicie jeden porucznik, Polak, zmarł z upływu krwi, bo ранego noszono przez całą noc od szpitala do szpitala, w poszukiwaniu... wolnego miejsca. Zmarł w rodzinnym mieście, okupowanym przez setki bezrobotnych lekarzy, pełnym wolnych łóżek szpitalnych i żebrzących o pracę sanitariuszek... Komenda placu wprowadzie zajmowała się żołnierzami, ale tymi, których wysyłano w pole, a nie tymi, których przywożono, niezdolnych do walki. Żadnej łączności kadr ze szpitalami nie było.

Pospieszyłam więc o tym przede wszystkim zameldować komendantowi placu. Z miejsca wydał rozkaz zaciągnięcia dyżurów na dworcu. Na razie rannych było bardzo niewiele, przeważnie tylko chorzy, dla nich to trzeba było postawić dyżur na nogi. Pierwszym moim odruchem było pójść do Oleandrów, ówczesnej budy drewnianej, gdzie tymczasem pracowały, względnie przesiadywały bezrobotne sanitariuszki obywatelki i ogłosić wielką nowinę, że robota jest. Idę więc ze skrzydłami u ramion przez planty, słoneczko praży, ptaszki świergocą beztrósko na gałęziach kasztanów i nagle staje jak wryta. Grupa dzieci podskakuje i pokrzykuje dookoła jakiegoś straszdyła, odzianego w wieczorową, dżetową suknię z wachlarzem w jednej ręce, a parasolem w drugiej. Tym parasolem opędza się straszdyło jak może od natrętnych bachorów. Raczej bezskutecznie.

Podchodzę, przyglądam się i zabrakło mi tchu, bo poznaję w straszydło jedną ze strzelczyń lwowskich, osobę wielkiej wartości, a małej urody. Pytam: co to jest? co to znaczy? a ona z komiczną powagą odpowiada:

— Cicho, nie mówcie nic. Konspiracja! Jestem wywiadowczynią, jadę „na paszport“ baletnicy do Królestwa do pani Oli (Komendantki Oddziałów Wywiadowczych Kobiet). Będę uwodzić urodziwych oficerów, dodaje poważnie i będę przynosić wywiady...

Nie wierzę własnym uszom.

— Któż was ucharakteryzował na taką baletnicę?

— Nasz szef, Stary. Sam mi toaletę dobierał.

— Jakto dobierał? — Wpadam w jeszcze większe osłupienie.

— Sam osobiście chodził ze mną po sklepach, zaakceptował mój gust i pochwalił wygląd... — z dumą odpowiada obywatelka baletnica.

Tak sobie oto nasz Stary idealista, najcudowniejsza postać w Legionach, wyobrażał baletniczkę.

Dowiedziałam się później, że pani Ola przebrała cudaka za służącą i z różańcem w ręku puściła na wywiad, na którym podobno znacznie dzielniej się spisała, niż jako adeptka sztuki choreograficznej.

*

Nieliczne wybranki wśród kobiet, to te szczęśliwe, wzbudzające zazdrość, które pracowały przy przygotowywaniu obiadów w Oleandrach. Jakie to było gotowanie — pożał się Boże! Rzucało się kawał mięsa do kotła, zalewało wodą, ale pod kotłem z zasady ani rusz nie chciało się palić. Wokół kotła stał tłum obywateli, zwierzęco głodnych i ledwo para fuknęła parę razy z kotła, wrzeszczał: gotuje się, gotowe!

Hasło to nie dawało wcale pracy obywatelkom, bo usłyszawszy rozkoszną wieść, każdy co morowszy chłopak bagnetem wyręczał obywatelkę, odcinając sobie płat mięsa, jak się dało, byle dużo i na półsurowo zjadał, aż się uszy trzęsły.

Tym gotowaniem zajmowały się panny z najlepszych domów, młode dziewczątka, wprost ze szkolnej ławy.

Te oczywiście, które nigdy poza piórem i książką w rękę nic nie miały, robiły wszystko zrazu dość niezdarnie, same wiecznie głodne i zziębnięte. Wdzięczności też nie zaraz doznały. Nie raz jeden spotykały ich szykany i bolesne żarty legunów.

Nie zapomnę nigdy złotowłosej, prześlicznej, 16-letniej ob. Klosówny (dziś Praszołowiczowej)! Biedactwo przenosiło wielki gar zupy, o wiele za duży i za ciężki na jej drobne łapki. Na nodze obywatela, naumyślnie podstawionej, upadła na progu, parząc się dotkliwie. Leguny ryczały ze śmiechu, na widok

ślicznej panienci, poparzonej gorącą zupą, podnoszącej się z ziemi. O tym stosunku początkowym Strzelców do kobiet, dużo dało by się powiedzieć!

Jak często słyszało się w początkach wojny wołanie: oddaj kozuch! Tak krzyczały leguny na widok małych dziewczątek, stojących na zimnie i czekających w kolejce na zupę. Kozuchy, dostarczane przez N. K. N., były marzeniem najwyższym każdego obywatela, a że niewiele tych kozuchów było, dostali je tylko ci przy Komendach i garstka obdartych literalnie dziewcząt.

Ja osobiście nie mogę na niewdzięczność leguńską narzekać, co prawda inne było moje stanowisko jako lekarki. Otrzymywałam nawet piękne laurki od chorych legunów na imieniny, wstążeczką misternie wiązane...

Mimo że dziewczęta były w większości wypadków obdarte i bose, gdy wezwałam je do pomocy dworcowej — przyszły wszystkie i stały całą noc na zimnie, byle się nie spóźnić, byle nie stracić kolejki w pracy. Z tych kandydatek wybrałam dwa tuziny, mimo to znowu przyszły wszystkie, blisko 100, z płaczem dopominając się o przydział.

Pierwszym naszym pacjentem był Karol Adwentowicz, stratowany kopytami końskimi, chory, powracał z pola przez Kraków. Nasze obywatelki niosły z pietyzmem na noszach nie tylko jego samego, gdyż każdy szczegół ubrania wielkiego artysty

był traktowany przez sanitariuszki z odpowiednimi honorami. Adwentowicz miał na sobie uroczysty strój Beliny z historycznym czakiem. Jakże rozradowała się jego twarz, gdy zobaczył mnie — starą znajomą. Błagał o skierowanie go do szpitala legionowego, a kiedy mu to przyrzekłam, dziękował serdecznie wyrazem oczu i uściskiem ręki.

Jaka była atmosfera w szpitalach austriackich — każdy, kto zetknął się z salą chorych, wiedział, co to znaczy dla psychiki chorego leguna ten wielojęzyczny, obcy tłum, podszyty tchórzostwem lub apatią. Na tle takiego nastroju legionista, który początkowo drwił sobie ze szrapneli i karabinów maszynowych, po pewnym czasie ulegał depresji większości, czuł się nieswój — toteż raz po raz wiał do swoich, niewyleczony, przenosząc głód i chłód nad poniewierkę u obcych.

III

JABŁONKÓW

Zabawa: pierwsze dni listopada minęły, i nagle zapomniały już wyraz ewakuacja. Wyszłyśmy z Lwowa. EWA KACIAŁA. Nieprzyjacieli poznaliśmy tak: w rozmowach o szlakach sukcesów armii austriackiej, że ewakuacja -- znów! Zdałam nam się, że świat ruszył, że jedziemy na zachód, że ja wiem? Syberia... Sachalin... Jazda najpóźniej w zimno, bo -- wtedy we Lwowie, wieszaliśmy, że jedziemy do Krakowa. A dziś nic nie wiadomo.

W każdym razie nie ma już Babci Zamorskiej, ani Włosa żelaznego. Pociąg submic, wygodniejszy niż wtedy, specjalny, przeznaczony tylko dla nas, dla sanitariatu, dla władz Komendy Placu, służby pomocniczej.

Co prawda nie wszystkim jednakowo się drżało. Szwedzi dali wielki sygnał ewakuacyjny pociąg -- nieoparty, nieowładny, wiozący inną partię sanitariatów z Żoną Dobijanką na czele. Tam marzyliśmy, że nie kłóć się i głodowały nie mało, bo uważały

III

JABLONKOW

Zaledwie pierwsze dni listopada minęły, i nagle zapomniany już wyraz ewakuacja słyszany niedawno we Lwowie, zadzwonił nam w uszach w Krakowie. EWAKUACJA!!! Nieprzyjaciel posunął się tak bardzo w głąb kraju, mimo bajek drukowanych w dziennikach o szalonych sukcesach armii austriackiej, że ewakuacja — znowu! Zdawało nam się, że świat runął, że jedziemy na zesłanie, bo ja wiem? Sybir... Sachalin... Jazda najzupełniej w nieznane, bo — wtedy we Lwowie, wiedzieliśmy, że jedziemy do Krakowa. A dziś nic nie wiadomo.

W każdym razie nie ma już Babci Zamorskiej, ani łóżka żelaznego. Pociąg mknie, wygodniejszy niż wtedy, specjalny, przeznaczony tylko dla nas, dla sanitariatu, dla władz Komendy Placu, służby pomocniczej.

Co prawda nie wszystkim jednakowo się działo. Sześć dni włókł się inny ewakuacyjny pociąg — nieopalony, nieoświetlony, wiozący inną partię sanitariuszek z Zośką Dobijanką na czele. Tam marzły dziewczęta na kość i głodowały nie mało, bo uważały

sobie za punkt honoru, nie „objadać“ kantyn żołnierzy na dworcach. Stały na miejscu dopiero 11 listopada i mimo mroźnego dnia, pobiegły wykąpać się w strumyku górskim

Nam lepiej było. Tłok duży. Dzieci się płaczą. Między nimi zwraca uwagę para podróżnych, starszy pan i pani, porządnie wyekwipowani i pies. Znowu pies. Przypomni mi się Azorek z dworca lwowskiego. Ale to nie Azorek, to Mira, rasowy, legionowy pies. Przyjechała Mira ze swoim państwem z Paryża. Właśnie na wojnę tak im się spieszyło, że zostawili całe mieszkanie z meblami bez zamknięcia, bez opieki, aby zdążyć, ale pieska nie zapomnieli.

Poza nimi siedzą i stoją w wagonie ciekawe, dziwne różne okazy, szara brać, spędzona jakimś rozkazem wyższym do jednego mianownika. Ten „mianownik“ gnał teraz w nieznaną, pełną parą, gwizdał i huczał, gdyśmy się sobie przyglądali nawzajem, ze sercem ściśnionym. Całą paczką rodzinną przyjechali Grzędzińscy do Polski na wojnę, matka z córką i dwoma synami, eleganckie, paryskie toalety i polska w duszy tęsknota za pracą dla kraju, za rozkazami Komendanta. Z nimi wytworna monachijska studentka filozofii p. Anna Minkowska, odbijali oni tak dziwnie od naszej wojennej szarzyzny! Ale wypadki zaskoczyły ich tak nagle, że nie mieli nic bardziej skromnego ze sobą, że nie zdążyli się przebrać. Wnet panowie Grzędzińscy byli już w linii,

córka Nelli w wywiadach, a matka w Sanitariacie — wszyscy jednej sprawie oddani.

Pociąg mknie tymczasem przez cudny kraj, góry i lasy jakieś inne, inny niemal śnieg, choć takie swoje, polskie, ślązackie. Jesteśmy na Śląsku. Jest on prawie tak piękny jak Lwów, aż żal, gdy się wspomni, ile tej ziemi odpadło od Polski. Ja płaczę zawsze za Jabłonkowem.

Bo wyrzucono nas ostatecznie do Jabłonkowa. Znowu szukam przydziału pracy. O zajęcie łatwiej tu było niż w Krakowie, już wyrobiła się do pewnego stopnia legunowa rutyna. Zgłaszam się do Komendy Placu. Serce bije, że otrzymam tę tyloкратно słyszaną już odpowiedź: przykro nam, ale nie ma nic. Tymczasem praca jest! W Komendzie leży list, niecierpliwie i dawno oczekiwany przez p. dra Tadeusza Ostrowskiego, który jest lekarzem Komendy Placu. Jako wybitny chirurg, asystent prof. Rydygiera ze Lwowa, marzył, by mógł pracować w dziedzinie swej specjalności, bo na tej placówce w Jabłonkowie jego zdolności i fachowe wykształcenie nie mogły być wyzyskane. I właśnie ja miałam zanieść mu tę upragnioną wiadomość o przeniesieniu i ja miałam go... złuzować.

Byłam młodziutkim lekarzem, liznęłam teorię, miałam trochę rozsądku, dużo dobrych chęci i szaloną radość w sercu, ale złuzowanie wielkiego chirurga, to przechodziło moje ówczesne aspiracje. Rozkaz

jednak to rozkaz. Idę z nim, dowiaduję się o Izbę Chorych, wskazują mi budę, skleconą naprędce. Pastor Michejda wciska mi koszyk z winem do ręki dla najsłabszych chorych. Wchodzę na dziedziniec nieśmiało i trafiam na taką charakterystyczną scenę:

Paruset obdartych, wynędzniałych chłopaków wypełnia cały dziedziniec, pośrodku zaś z zatroskaną, bezradną miną stoi dr Ostrowski. Widzę jego wściekłość, bo jakże ma ten poważny chirurg rozsegregować w przeciągu godziny przeszło 200 żołnierzy, ocenić sprawiedliwie, który z nich istotnie chory i przeznaczony do szpitala, który na krótki odpoczynek, a który do kadry z powrotem? Głowię się, w jaki sposób dr Ostrowski dylemat ten rozwiąże i podszedłszy do niego, nieśmiało proponuję, aby wywołać może z tłumu jakiegoś sanitariusza lub medyka do pracy. I istotnie, na wezwanie, występuje z gromady, jakaś pucułowata postać blondaska, który z miną fachowca huczy donośnie:

— Baczość! Spocznij! Odmaszerować do kuchni...

Dzieje się cud. Tłum momentalnie się rozłamuje, rozpada. Część rzuca się do kuchni z nieoczekiwanym zapalem, zaledwie drobna garstka pozostaje apatycznie na dziedzińcu, przestępując z nogi na nogę, a kilku żołnierzy wali się po prostu na ziemię. Patrzę, wśród leżących na ziemi wątły chłopaczek ściska w rękę karabin o wiele za duży na jego drobną postać. Poznaje młodszego kolegę z lwowskiej medy-

cyny, Józka Hellera. Wsuwam mu flaszkę wina pastora Michejdy.

— Wino proszę zostawić dla słabszych, ja tylko bardzo proszę obywatelko doktorze wstawić się za mną w szpitalu, aby mi zostawili mój karabin — mówi jak gdyby wstydził się swojej słabości.

Puculowaty blondasek tymczasem przypatruje się temu wszystkiemu z filozoficznym spokojem, po czym zwraca się do nas:

— Ci co poszli som zdrowe, a na tych co zostali, będzie miejsce w szpitalu.

Geniusz! Olśniona, pytam blondaska, skąd jest i jakie studia posiada?

— Tatunio w Anatomii już dobrych kilka lat za portiera pracuje... — objaśnia niefrasobliwie obywatel.

Wlało mi to otuchę w serce, bo jeżeli ten „syn Anatomii“ dał sobie radę tak fenomenalnie, że w kilka minut, bez termometru, bez mikroskopu i słuchawki, diagnoza została postawiona i 200 ludzi rozdzielonych, to chyba i mnie się jakoś uda.

Pokrzepiona tedy na duchu, zluzowałam dra Ostrowskiego, i w ten sposób zostałam lekarzem Komendy Placu w Jabłonkowie.

*

Dobrze nam było jak w niebie w tym Jabłonkowie! Kwaterę dostaliśmy w szkole, po nauczycielu, który był na wojnie.

Pokój z kuchnią, meble czyściutkie, szafa, łóżka, pierzyny, firanki, nawet kwiaty na oknie. Po prostu luksus. Toteż mieliśmy szczęście do sublokatorów, kwatera ściągała zazdrosnych.

Zanim objęłam kuchnię w posiadanie, już tkwiła w niej ob. Żańcia Łakińska, nazajutrz zakwaterował się ob. Stefan Mozołowski. Otrzymał ode mnie glejt na spanie w pokoju, gdyż niewinny młodzieniec absolutnie nie chciał spać sam na sam z kobietą w kuchni. Przyszedł zresztą i zmartwiony, i chory. Czy można było nie dać przytułku Stefanowi Mozołowskiemu?

Właśnie się wydobył cudem z wojska austriackiego przy pomocy jakiejś arcyksiężnej. Jechał więc radosny do Legionów, do Jabłonkowa, a tu własne rodzone leguny okradły go ze słomy.

Odbierałam transport wojskowy na dworcu (wśród rannych kap. Sław Zwierzyński i kap. Scewola Wiczorkiewicz, dziś generał brygady, dowódca dywizji) — patrzę, wysiada z wagonu zrozpaczony Stefan Mozołowski. Całą radość spotkania naszego zepsuła nam ta słoma, ukradzioną przez rodzonych legunów.

Goście nasi na kwaterze, też spali na słomie, pokotem na podłodze z głowami pod stołem. Długa serweta pluszowa, zakrywająca ten stół, spływała na ich głowy..., bo reszta ciała przecież i tak nie ma oczu, jak twierdził nasz chwilowy sublokator, Wło-

dzimierz Mozołowski, ówczesny cherubinek, starszy sierżant I Brygady, o nie gasnącej pogodzie ducha i radości życia (dziś prof. chemii na Uniwersytecie Wileńskim). Ob. Włodek zjechał do nas ze szpitala po wygojeniu rany, aby wydobrzeć do reszty, gdyż ręką nie bardzo jeszcze mógł władać. Ciekawe, że my gospodarze, byliśmy radzi wszystkim, a tylko oni, ci goście, staczali między sobą homeryckie boje o każdy sprzęt, o mydło, o wodę, o łyżki. Najzaściętszy zazwyczaj był ten, który ostatni się zakwaterował. Uważał się za bardziej zadowolonego od innych i z pasją ciskał się na następnego po sobie przybysza, tak długo, aż znowuż ten następny nie poczuł się dostatecznie zadowolony i nie odbił się na następnym nowicjuszu.

W NAWSIU i W SZYGLU

VI

W. HAWARD I. W. STYGLITZ

Liczba naszych lokali sanitarnych przedstawiała się następująco: Izba Chorych, szpitalik w Nawsiu, kilkanaście łóżek na plebanii u ks. pastora Michejdy, kilkanaście łóżek w Jabłonkowie, duży szpital na 40 łóżek za Jabłonkowem w opuszczonej willi w Szyglu, oraz później nieco, oddział zakaźny w Nawsiu. Uposażenie nasze sanitarne urągało wszelkim prawom boskim i ludzkim. Nie mieliśmy ani koców, ani bielizny, ani poduszek, prześcieradeł, nic. Tak było w chwili mego przyjazdu i objęcia placówki w Jabłonkowie. Jakimże cudem w trzy dni potem było wszystko, nie tylko dostatecznie, ale w takim nadmiarze, że mogliśmy obdzielić inne dalekie szpitale?

Zdziałali to dwaj księża: ks. pastor Michejda i ksiądz proboszcz Ściskała, obaj gorący patrioci, a przedzieleni różnicami wyznań. Nie wiedzieli z początku nawet, jak się wzajem do siebie ustosunkować, ale połączyła ich miłość do kraju. Zgodnie podzielili się terenami: ks. Ściskała objął Szygle, a ks. Michejda w Nawsiu urządził szpitalik we własnej plebanii ewangelickiej, my zaś, w nagrodę, chodziliśmy na prze-

mian z rozkazu komendy placu do kościołów obu wyznań.

Cudne były kazania ks. pastora Michejdy. Sam, śliczny staruszek jak Bóg Ojciec z obrazka, siwymi włosami okolony, umiał przemawiać do ludu swego. Wtedy, do kobiet tylko właściwie, bo całe plemię męskie wyruszyło w świat. Jak potrafił nakierować serca tych kobiet na współczucie, gorące i czynne dla naszych rannych i chorych chłopaków.

— Wy macie swoich na wojnie, męczonych nieraz głodem i chłodem — zabrali ich przemocą. Pomyślcie więc o tych biedakach, którzy poszli dobrowolnie, którzy dobrowolnie rzucili ciepłe łóżka, smaczną strawę, matki, siostry, dla Polski, dla kraju naszego rodzonego, a teraz wracają chorzy i ranni.

Białe czepki koronkowe, koszule wyszywane, pochylały się ku ziemi, siąkania nosem mieszały się ze szlochem: Ano! może Pan Jezus dobrotliwy pozwoli mojemu wrócić do domu, jeżeli tym nie-bożątkom pomogę...

I pomagały. Efekt był piorunujący. Wprost z kościoła księdza pastora Michejdy baby gnały do domów i zarzucały nas poprostu całym dobytkiem, począwszy od bielizny, skończywszy na konfiturach i kompotach. Mieliśmy wszystkiego, powtarzam, w bród. Co za zacny naród ci Ślązacy, co za serdeczność, co za polskość, co za ofiarność! Nie było leguna bez kwatery, sami ofiarowywali izby, sami

ofiarowywali się z wyżywieniem chorych, odzieżą dla obdartusów.

Teraz, kiedy szpitale nasze na Śląsku wzbogaciły się w uposażenie, tym ci gorzej przedstawiał się cały Sanitariat. Właściwym jego Komendantem był dr Emil Bobrowski z Krakowa. Robił co mógł, dwoił się, troił, wpadał niespodziewanie, dawał polecenia, znikał, ale nie miał nad nami kontroli, gdyż prowadził wówczas jeszcze inną robotę na terenie politycznym, ale to... konspiracja, więc o tym cicho, sza.

Z lekarzy pamiętam dr Bukowieckiego, Medyńskiego, dr Kucharskiego, dr Kunzyka, Mozołowskiego, dr Strzelecką, później nieco przybył dr Kośniewski. Promienna postać pułk. Rudzkiego, który przejeżdżał przez Jabłonków, mignęła mi tylko przed oczyma. Wszelkie przydziały, rangowania, wisiały u nas w powietrzu i tak pchało się ciężki, sanitarny wóz...

Pewnego dnia przydzielono mi jakiegoś starszego pana w szaliku. Nazwisko brzmiało „Sambor“. Poznałam w nim tego pasażera z ewakuacyjnego pociągu, który jechał z żoną i pieskiem Mirą. Otrzymałam go „do dyspozycji“, tj. do zatkania jakiegokolwiek dziury w sanitariacie. Posyłałam więc obywatela Sambora co dzień do miasta kilka kilometrów, skąd przynosił naładowane plecaki i skrzynki z potrzebną żywnością dla naszego szpitala. Następna

praca, którą zleciłam ob. Samborowi była z innej nieco dziedziny. Nasze miejsca ustępowe przedstawiały się opłakanie. Ob. Sambor zabrał się do nich. Studiując higienę we Lwowie, nauczyłam się oczywiście, jak te ubikacje mają wyglądać „wzorowo“, ale nie wiedziałam, co robić, gdyż tutaj można było stosować tylko prymityw. Lustrując w parę dni później szpitalik, zostałam uderzona wyglądem owej budki ustronnej. Przeszła wszelkie oczekiwania. Nawet napis figurował na niej, olbrzymimi literami wykalgigrafowany, przez ob. Kurdziołka, naszego ordynansa szeregowca: N. K. N.

Pochwalałam gorąco ob. Sambora.

— Jak na pierwszy wyczyn, doskonale, ale skąd wy obywatelu umiecie wychodki urządzać?

— W Paryżu się nauczyłem, — odrzekł skromnie ob. Sambor.

— W Paryżu? a cóżeście w Paryżu robili? — pytam, biorąc odpowiedź za dobry kawał.

— Byłem tam asystentem w Instytucie Pasteura, — odpowiada skromnie.

Okazało się, że ob. Sambor, to prof. Zygmunt Skrzyński (późniejszy wojewoda poleski), ładna historia! Wzruszona, biorę go za rękę, ciągnę do Komendy i proszę, aby prof. ob. Sambor był moim przełożonym, a nie na odwrót.

— Chyba tylko w dziale dezynfekcji, — bronił się i oponował zażenowany profesor i w ten sposób

został ten paryski uczony mianowany zastępcą szefa sanitarnego na Śląsku (ja w randze porucznika, on wachmistrza). Oboje pp. Samborowie-Skrzyńscy byli nieźrównani, istna poezja w naszych szeregach. Każdej roboty imali się z entuzjazmem i zachwytem, on cały czas w linii od r. 1914, aż do końca wojny był wachmistrem u Beliny, ona w szpitalach jako sanitariuszka. Dużo rzeczy nauczyłam się od ob. Sambora.

Na ogół zresztą wszystko, co wokół nas żyło, żyło wysoce ideową egzystencją, ale żadnego porządku nie było w rangach, żadnego przydziału, jako się już rzekło. Wyrywaliśmy sobie chorych, jedne szpitale odwiedzało się po parę razy, innych wcale nie, choć materiał nasz, zwłaszcza kobiecy, był na najwyższym moralnym poziomie i z takim materiałem cudów można było dokonać.

Sanitariuszki legionowe były to niewiasty morowe. Rwały się do pracy, ale wyszkolenie ich pozostawiało wiele do życzenia. Bywały takie, które nie umiały się nawet obchodzić z termometrem (te nieliczne, które nie należały do organizacji kobiecych).

Pamiętam jednej nocy, budzi mnie dyżurna siostra i, wystraszona melduje, że chory X ma 42^o gorączki i że umiera. Zrywam się, narzucam futro i brnę przez zaspy śnieżne. Okazało się, że chory miał 37,5^o i czuł się wcale dobrze, a obywatelka

sanitariuszka jeno obliczyła $37 + 5$, co dało oczywiście w sumie 42...

Nie miałam nawet serca zbesztać ślaniającej się na nogach dziewczyny...

O ile szwankowało doświadczenie, o tyle wysoko stał rygor. Dyscyplina była wzorowa. Niech poświadczy jeden taki wypadek, który do dziś napęłnia mnie wyrzutami sumienia. Oto wyjeżdżając kilka kilometrów do Szygła na lustrację, postawiłam ob. Machównę, szesnastoletnią siostrę, z kosztami kuchennymi przed sklepem w Jabłonkowie.

— Siostra tu poczeka, zabiorę ją na sanie w drodze powrotnej. —

Tymczasem musiałam zmienić marszrute, wracałam inną drogą, o ob. Machównie zapomniałam. W nocy dopiero, późno, patrol melduje mi, że jakaś sanitariuszka leży zemdlona przed sklepem w Jabłonkowie, w śniegu, z odmrożonymi rękami, w których trzyma paczki i kosze. Była to ob. Machówna. Nie myślała, nie rezonowała, po żołniersku spełniała rozkaz...

*

Ale pewnego dnia padł na nas grom. Młody jakiś student żołnierzyk, nieznanego nazwiska, zatrzymany w Komendzie Placu za drobne przewinienie, zemdłał. Przywołano mnie, mierzę gorączkę: 40° . Wysłałam chłopaka do szpitala do Szygła, gdzie było najlepiej, pod opieką Komendantki, wykwalifikowanej siostry Marii

Siegmajerówny (obecnie drowej Dehnelowej), dziewczyny o ruchach i oczach gazeli, a rękach ze stali. Trzymała ład i porządek niebywały. Tam zorientowaliśmy się szybko, że chłopak ma jakąś podejrzaną wysypkę, że to będzie tyfus lub ospa, i że trzeba na gwałt ulokować go w pawilonie zakaźnym. W zakaźnym znowuż był komendantem ob. Stefan Mozołowski, dziś pułkownik, komendantką sanitariuszek była Anna Minkowska, owa elegancka, monachijska studentka, poznana w wagonie ewakuacyjnym.

Parę dni obserwacji wystarczyło, aby się przekonać, że młody student ma ospę, prawdziwą ospę, a tu pawilon nasz zakaźny urąga wszelkim pojęciom o higienie: brakuje najprymitywniejszych urządzeń, najpotrzebniejszych środków dezynfekcyjnych, nawet nie ma kawałka papieru czy gazety, dla chorych, co zwłaszcza dawało się we znaki przy biegunkach. Ręce myliśmy tam wszyscy w śniegu, bo woda zamarzała, okropność! Nieznany student tymczasem zapadał coraz gorzej, pamiętam do dziś jego jasną czuprynę i chabrowe oczy. Wnet całe ciało pokryło się jedną wielką raną. Ropa z niej ściekała do niecek podstawionych pod łóżko.

Mimo bezgranicznego poświęcenia ob. Stefana Mozołowskiego i całego sanitariatu, śmierć chłopaka nastąpiła piorunująco. A tu nie ma trumny, nie ma ubrania, nie ma prześcieradeł. Byliśmy już wtedy

izolowani od świata w zakaźnym pawilonie, odcięci zupełnie, daleko tylko wokół stała warta i nikogo nie puszczala. Musiał więc sam dr Mozołowski złożyć zwłoki do trumny, zbitej byle jak (z resztek, pozostałych po higienicznych ubikacjach ob. Sambora), przez sanitariusza atletę, który ongiś w „cywilu” w cyrku występował. Pogrzeb odbył się bez księdza, nikomu zbliżyć się nie było wolno do nas. Szliśmy więc sami po kopnym śniegu: ob. Sambor, kilka sanitariuszek, ów atleta cyrkowiec i ja.

Komendantką transportu zamianowałam studentkę lwowskiego uniwersytetu obywatelkę Dobijanę, która dumna ze swej funkcji, siedziała okraciem na wozie, zaprzęgniętym do jednej szkapiny i intonowała jedną pieśń legionową za drugą. Dół na cmentarzu wykopaliśmy sami, jedynie ob. Sambor dotykał rękami trumnę, jako że miał grube, szare rękawice. Gdy trumna znikła w płytkim dole, sama zdjęłam te rękawice ob. Samborowi i wrzuciłam do grobu razem z gaszonym wapnem, zmieszanym z ziemią i cegłą. Ostrożności okazały się daremne, bo dowiedziałam się wnet, że ktoś wykopał rękawice. Jakżeby? Takie wprost z Paryża, grube, wełniane, eleganckie rękawiczki — zazdrość odwieczna wszystkich obywateli? Może atleta cyrkowiec?

Gdyśmy wracali z pogrzebu niespodzianie zelektryzował nas śpiew łyczakowski: „A Kurkowski robi

trumny“ itd. (kto jest ze Lwowa, ten wie, co dalej) — tak nucił zdławionym głosem atleta sanitariusz. Widocznie i naszemu szampionowi cyrkowemu było na duszy ciężko i brutalną piosenką chciał się przebić przez nieodgadniony nigdy problem śmierci.

Po powrocie z cmentarza wstępuję do szpitalika, aby zobaczyć dłaczego Mozołowski i Minkowska nie byli na pogrzebie. Co się okazuje? Cała nasza załoga ma po 40^o gorączki. Zanosi się nie na żarty na ospę. Mozołowski na dobitkę nie szczepiony. Jak się uchował ten chłopak z inteligentnej rodziny, bez szczepienia, pozostało do dziś dnia dla mnie zagadką. Podobno tak przykazał jego ojcu lekarz przyjaciel.

Melduję spiesźnie Komendzie Placu o naszej epidemii, na co otrzymuję carte blanche: rób co chcesz, zaś szef Bobrowski, zwoławszy konferencję oświadczył, że nie może nikomu narzucać obowiązku, a zatem żadnego lekarza nie może zmusić do objęcia w pawilonie zakaźnym stanowiska po chorym Mozołowskim.

— Niech się koledzy porozumieją między sobą.

Zgłaszam się więc sama, jako że nikt inny się nie zgłosił. Gehenna! Prawdziwa gehenna. W jednym pokoju leżą razem kobiety i mężczyźni. Leży tu i Mozołowski. Wszystkie fizjologiczne potrzeby muszą załatwiać przy sobie, wymioty, biegunki, nieodłączne objawy strasznej epidemii.

Ob. dr Mozołowski na początku obserwował uczenie i notował, jak z plamek na ciele rozwijają się guzki, pęcherze, krostki ropne, ale wreszcie przysłałań noc gorączki, taka, że przestał obserwować. Cały był pokryty jednym wielkim, zlepiającym się wrzodem. Oczu nie było mu wcale widać spod okropnego obrzęku. Twarz, jak ryj świński. Jama ustna, przewód pokarmowy, też jedna rana. Co ten człowiek przeniósł, trudno wypowiedzieć. Gdy prowadziliśmy go do kąpieli, do beczki po kiszzonej kapuście, do której wodę nosiły sanitariuszki o kilka kilometrów, każdy krok na podłodze byłznaczony krwawą ropą. Nie wyobrażałam sobie, że istnieje taka choroba na świecie. Rak przy niej to senne marzenie.

Wreszcie zaczęła się jak gdyby agonia Mozołowskiego. Majaczył, krzyczał, że Komendant przyjeżdża do Jabłonkowa, żeby tu na miły Bóg nie przychodził, żeby się nikt więcej nie zaraził. A Komendant istotnie na wigilię przyjechał do Jabłonkowa, o czym rozmiawialiśmy szeptem i co może podsłuchiwał majaczący chory podświadomie, zelektryzowany drogim imieniem Komendanta.

Wigilia!! Co za Wigilia!! Odcięci od świata — warta i druty ze wszystkich stron, ciemno, w izdebkach cisza śmiertelna, a tylko Anka Minkowska nuci monotonne kolendy, a ordynans Kurdziołek podchwytuje nutę... Wtem, stukanie w okno. Otwie-

ramy i wpada do izdebki z trzaskiem, oszronione drzewko, opłatki i paczka bakalii.

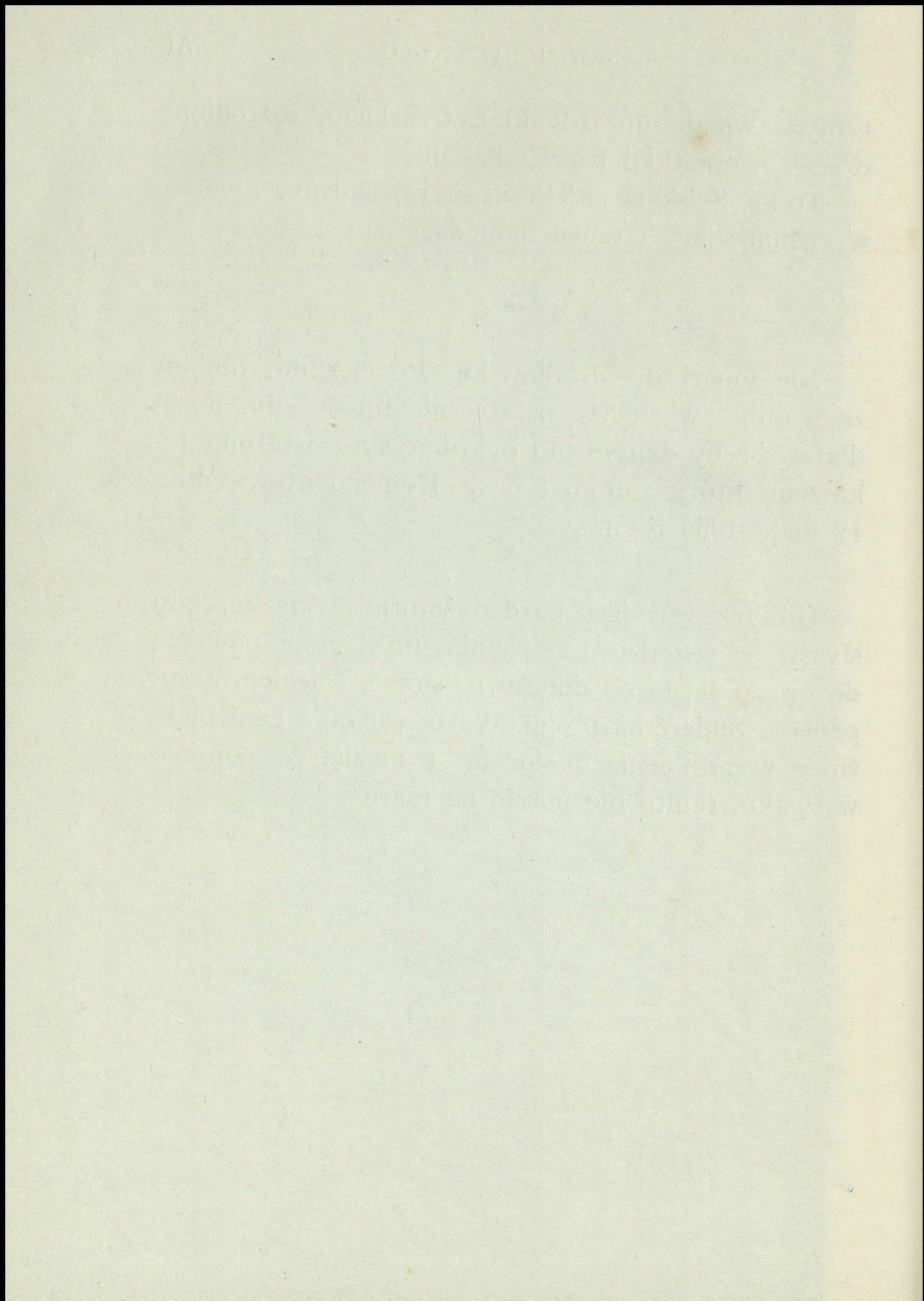
To ks. Sciskała przekradł się przez druty i wartę, w ciemnościach i rzucił nam dary...

*

Nie umarł dr Mozołowski. Po ciężkim, długim zmaganiu zwyciężyły ostatecznie młode siły, może dlatego, żeby danym mu było być tym ostatnim lekarzem, który zamknął oczy Komendantowi, dnia 12 maja 1935 roku.

*

Gdy czasem jest bardzo smutno i ciężko, gdy słyszy się wszędzie narzekania, myśl moja powraca do owego śląskiego domku na górze, śniegiem zasypanego. Śmierć na progu. Warta wokoło. Lśni biały śnieg w promieniach słońca. I myślę, że pomimo wszystko, tamto nie poszło na marne.



Y
KONGRESOWKA

Tak przetrwaliśmy zimę 1915 roku.

Chmury gęstniały nad śląskim niebem, przygnębienie rosło, wieści o niepowodzeniach wojennych docierały do każdego kąta, choć pieczołowicie ukrywane przez władze austriackie. Rosły też austriackie szykany. Całe długie tygodnie patrzyliśmy, jak szły po śniegu szeregi szarych postaci, w butach i wysokich barankowych czapkach z kijem w rękę, odarci ze zdrowia i złudzeń, ze zwątpieniem w sercach: to nasi, z wojska odchodzący młodzi inwalidzi, jako superrewidowani. I nagle w tę szarzyznę zgryzoty i rozpacz padł jasny grom, wieść radosna. Kongresówka wolna od Moskali! Idziemy, już idziemy do Warszawy. We śnie widzimy Łazienki, Belweder, Zamek.

Istotnie przychodzi rozkaz „jazda do Kongresówki“. Nie wiem, jak ta podróż się odbyła, gdyż zostałam w owym czasie wysłana do Wiednia po szczepionkę przeciwospową, jako że nasza krakowska zawiodła na całej linii. Jadę, rozkaz! ale serce boli, że nie do Warszawy. Marszrutę dostałam z N. K. N.

W Wiedniu okazał mi najżywszą pomoc chorąży Kuba Krzemieński (dziś generał i Prezes Najwyż. Izby Kontroli), człowiek o złotym sercu, które się nic a nic nie zmieniło z biegiem lat, z przyrostem znaczenia i szarż.

Z stolicy naddunajskiej utkwiał mi jeden wesoły obrazek w pamięci. Staję oto przed jakimś arcywysokim dygnitarzem austriackim z generalskimi szamerunkami:

— Pani jest legionowym lekarzem i — w ogóle lekarzem? — pyta niedowierzająco. — I pani była na ospie?

Oburzona, że powątpiewa w moje lekarskie stanowisko, odpowiadam dumnie, że tak.

— A więc niech mi pani powie, jaką dawkę opium zastosuje pani mężczyźnie?

— Maksimum czy minimum? Prodie czy prodozie? — recytuję jednym tchem.

— Ist wahr! — zdumiał się dygnitarz. — No, no... i była pani na epidemii ospy? hm. Legiony ładne wojsko, ale czemu się per obywatel wołacie? Obywatel to nie wojskiem, ale rewolucją pachnie. Dajcie tej obywatelce tyle szczepionki, ile zechce, — dorzucił do kręcącego się adiutanta.

W parę miesięcy potem zostałam odznaczona Czerwonym Krzyżem oficerskim, im. Arcyksięcia Salwatora, za zasługi na polu sanitarnym. Nie wiedziałam, że wykłady farmakologii u śp. prof.

Popielskiego przyniosą mi tak zaszczytne odznaczenie.

Obladowana szczepionkami, radosna wyjeżdżam w ślad za naszymi oddziałami do Królestwa. Wiosna. Nastają cudowne dni. Marzy mi się Warszawa, ale stop! W Sławkowie nas wszystkich zatrzymują. Austriacy dalej nie puszczają.

Mój Boże! Kto z nas nie pamięta Sławkowa sprzed dwudziestu laty!!! Niebieskie, farbą pomalowane domki w rynku, kozy w błocie, domy w błocie, my w błocie po kolana. Całą wojnę wytrzymałam, niejedne drogi błotne przebiegłam, ale tu, ledwo ruszyłam do chorego na zapalenie płuc por. Müllera, na rynku wywaliłam się jak długa, grzęznąc w topieli powyżej ramion. W jednej ręce trzymam strzykawkę z kamforą, w drugiej bańki. Siedziałam w błocie i płakałam, tak głośno i tak długo, aż to usłyszał przez okno por. prof. Amejzen. Wybiegł z żoną i wyciągnął mnie z błota zapłakaną i zawstydzoną.

— Dziękuję, nic się nie stało, nic się nie stało (powtarzałam wśród śmiechu i łez), nie z bólu płaczę i nie z tego, że mokro, lecz że ma to być Królestwo Polskie? Przecież u nas na Kresach nie ma takiego błota.

I po to tyle ofiar, żeby zdobyć takie Królestwo?

Nareszcie przyszedł rozkaz, by nas przesunąć do Piotrkowa. Z nami Departament Wojskowy i jego szef, Władysław Sikorski. Jechaliśmy w głównej

misji wyrabiania przychylnej opinii dla polskich formacji.

Niech zobaczą to wojsko polskie.

Do Warszawy jednak wara. Tylko Tytusowi Filipowiczowi udało się przedostać do stolicy, pojechał bryczką, radosny i dumny, a wrócił smętny i zgnębiony, ale to już należy do polityki. Cicho, sza — to konspiracja.

W Piotrkowie — pycha! Miasteczko czyste, kwatery sztywne, zwłaszcza nasza, na Piotrkowskiej ulicy, piękne trzy pokoje u pp. Bronikowskich, ludzi serdecznych. Wokół tłum raczej obojętny, niż przyjazny, czy też wrogi.

Taki dom pp. Rudnickich w Piotrkowie, to oaza, to promienny znicz polskości. Poza tym Sanitariat już zorganizowany, lekarze w komplecie, na czele dr kapitan Kaplicki, zawsze elegancki, zawsze pod bronią, wytworny.

— Pracy nie ma, — rzekł ujmująco, ledwo się przed nim stawiałam. — Dla was, piękna pani, raczej koszyczek do rąk z kwiatami, cukierkami, przecież nie szara robota. Ta jest dla nas mężczyzn przeznaczona.

I jak się gniewać na kapitana Doktora? Ale mimo to roboty szukam sobie sama. Cywilna ludność wszakże bez opieki lekarskiej. Lecząc więc i opatrując, będziemy sobie zjednywali społeczeństwo pracą realną.

— Nie mamy na to środków, — zakrzyknął do mnie dr Kaplicki, spotkawszy mnie na ulicy, ale „na szczęście“ wręczył mi nowiutki termometr. Istotnie przyniósł mi szczęście. W przeciągu dwóch tygodni miałam lokal za darmo: dwupiętrową kamienicę i siedmiu speców lekarzy z różnych dziedzin do pomocy. Byłam komendantką lecznicy, sława nasza rozchodziła się piorunem po całej okolicy, bo leczyliśmy bezinteresownie, dodając nawet na lekarstwa z własnej kieszeni. Ludzie stali w ogonkach i szeptali:

— Dobry naród te legionisty... Tacy swoi i tacy dbający, jakby byli nasi Moskale (tak w owe czasy nazywała ludność w Królestwie żołnierzy).

Czasem zawisła chmura, lecz zwykle nie groźna, i nad moją lecznicą. Bywały pomyłki w przydzielach i tak np. na jedną i tę samą placówkę wysłano równocześnie chorążego Janka Konopnickiego i mnie. Wedle wszelkich prawideł, powinniśmy się byli wziąć za czuby, my tymczasem padliśmy sobie w objęcia i pracowaliśmy miło i pożytecznie, szczepiliśmy zgodnie ospę i wszelkie inne choroby infekcyjne.

Rosła sława, rosła popularność i rosło dobre imię polskiego legionisty. Zrobiliśmy swoje. Ale robota nasza, nie tyle lekarska, co społeczno-polityczna, niezbyt się podobała Austriakom. Pozazdrościli nam laurów. Walka z nimi trwała od dłuższego czasu, ale sprawa mojej lecznicy odegrała rolę owej kropli, co przechyła szalę. Wezwano mnie pewnego dnia do

kreiskomendy i to pod grozą jakichś kar. Podpis: pułkownik Turnau.

Idziemy we trójkę: ja, sławny z elokwencji prof. Stanisław Kot, i, dla dodania rycerskiego animuszu, porucznik dr Sternschuss. Austriakom chodziło o to, abym pracowała sobie w lecznicy, ile mi się żywnie podoba, ale jako jednostka prywatna, a nie jako ekspozytura Departamentu Wojskowego. Władze austriackie nie mogą ścierpieć, aby władze polskie w jakiegokolwiek formie kontaktowały się z ludnością cywilną.

Ostra była przeprawa. Złotousty Stanisław Kot przekonywał wymownie o niesłuszności tego zakazu, wreszcie zagroził rekuresem do sfer wyższych, co doprowadziło pana c. k. pułkownika do wściekłości. Wyszliśmy bez pożegnania, kilkakrotnie przywoływani do porządku. Byłam zrozpaczona, ale prof. Kot powtarzał zacierając ręce:

— Na moją odpowiedzialność, niech pani dalej swoje robi. Niech się pani niczego nie boi. My im pokażemy.

Pokazał. Póty zużywał wszystkie swoje talenty polonisty, póty pisał i molestował władze austriackie memoriałami, aż przyszła odpowiedź przychylna, dająca nam pełną satysfakcję i wygraną na całej linii.

Na terenie Piotrkowa, stałam się sławną dzięki tej batalii. A lecznica moja tamże istnieje do dziś dnia.

Ale po jakimś czasie, rozkoszne niebo zaczęło się zasepiać, mimo że tyle uroczych postaci zjechało do Piotrkowa, i że tak zasadniczo wesołością tryskało miasto, i praca była miła, i ludność zjednana. Nie były tyle bolesne utarczki z Austriakami, co swary między nami, Polakami. Zrazu łagodne, zaogniały się, jątrzyły i męczyły nas...

Poznałam wówczas moc ciekawych ludzi, samą elitę niepodległościową. Jedni przebywali stale w Piotrkowie, inni zmieniali miejsca frontu wojennego na chwilowy wypoczynek lub pracę polityczną na terenie Królestwa.

Pamiętam Adasia Zagórskiego, tryskającego humorem, twórcę pieśni o Lwowie, i precudnego chłopaka Juliana Stachiewicza (zmarł generałem W. P.), który tak wściekle miał powodzenie u kobiet i sam umiał kochać się tak romantycznie, jak nikt w całej Pierwszej Brygadzie, i szwagra jego Kazika Sawickiego (dziś generał), zawsze pogodnie uśmiechniętego i Olesia Rutkowskiego (wiankiem pięknych strzelczyń otoczonego) i wytwornego Grubera (dziś Prezesa P. K. O.) i naszpikowanego dowcipem Zygmunta Nowakowskiego i Jana Pohoskiego z bujną, jak lew czupryną (obecnie wice-prezydent m. st. Warszawy) i rozmarzonego Denhoff-Czarnockiego i pięknego romantyka Bolka Pochmarskiego, obrońcę łązików, i Leona Wasilewskiego, i Mariana Dąbrowskiego z żoną, i Tytusa Filipowicza, i trzech panów od pocztą

i łączności, zawsze pogodnych, dobrze ubranych: Zygmuntowicza (obecnie ppułk.), Piątkowskiego i Adamowicza, i Mariana Hudeca, i literata Felusia Przesieckiego, i klasyczną postać Piesia Góreckiego, imponującego swą piękną brodą, i wielu, wielu innych, dziś już ś. p. lub starszych panów, na wysokich stanowiskach urzędujących.

Z kobiet pamiętam takie „fisze“ od wywiadów jak kresowa Venus, Wanda Filipkowska (dziś Pełczyńska, poseł Wileńszczyzny) i ruchliwa Zawiszanka, zwana „karabin maszynowy“, jak słodka Wisienka Denhoff-Czarnocka, uroczą i mądrą Rzepecką (Pohoska), dzielna Helena Radlińska ze swą piękną sekretarką, tak zwaną Monną Lizą (dziś p. Górecką Lili). Gospodarzył w Departamencie wówczas Władysław Dunin-Wąsowicz, serdeczną troską otaczając nas wszystkich.

Pomimo cudnej wiosny, która wręcz nie sprzyjała waśniom, klótnie potęgowały się i zawiści trawiły nasz organizm. Na tle tej atmosfery, przedziwnie odbijały się sylwetki przyjeżdżających z frontu. Na pierwszy plan wysuwała się energiczna postać rotmistrza Orlicz-Dreszera i drobna, dziecięco-pogodna obyw. Sirki (Sieroszewski). Obaj jako wysłannicy I Brygady chodzili pod rękę po ulicach Piotrkowa w barwnych strojach beliniackich. Olbrzymimi czakami na głowach oraz dysproporcją swego wzrostu wywoływali powszechną radość.

Opinia społeczna była za nami bardzo wyraźnie. Przyczyniły się do tego nie tylko wspaniałe odczyty, urządzane przez Filipowicza, Wasilewskiego, Prausa — ale także świetne kawały naszych legunów np. dra Sternschussa, człowieka wielkiej kultury i zamożności, który tak się zasymilował z I Brygadą, że sam dobrowolnie, złożyłwszy szarżę oficera austriackiego, zgłosił się do niej, jako starszy szeregowiec i zginął w bohaterskim ataku pod Kukłami. Jedyńy chyba legionista, któremu koledzy wypisali wszystkie „austriackie“ tytuły na krzyżu nagrobnym: doktor filozofii, radca Prokuratorii Skarbu etc., z własnej woli szeregowiec I Brygady. Tak bowiem było znamienne u niego to porzucenie wszystkich rang socjalnych dla szarego, strzeleckiego munduru...

Adolf Sternschuss był naszym nieodłącznym towarzyszem w Piotrkowie. Jego kawałom nie było końca. Kiedyśmy szli paczką przez ulice Piotrkowa, każdemu napotkanemu legionście kazał się meldować i doczepiać do nas gęsiego, w ten sposób w ciągu jednej pół godziny cały batalion maszerował z nami, wywołując sensację. A na czele sam Sternschuss, wstępujący po sprawunki, tak ważne, jak pasta do butów lub szczoteczka do zębów...

W kawiarni siadywaliśmy także całą paczką, oaza polskości wśród gęstej ciżby Austriaków, patrzących na nas spod oka. Wszystkim tzw. pikolakom kazał się meldować, za co otrzymywali sowite

nagrody: — Trzeba ich uczyć polskiego meldunku, to przecież przyszłe wojsko polskie.

Nie nadaremnie ich uczył polskości ob. Sternschuss, bo kiedy byłam w Piotrkowie temu dwa lata, wzruszona serdecznie, poszłam błdzić po dawnych naszych kwaterach. Wtem podchodzi do mnie jakiś pan, przedstawia się jako właściciel kawiarni, dawny pikolaczek, ćwiczony przez por. Sternschussa i zaprasza mnie gościnnie na podwieczorek.

— Przynieśliście mi szczęście — powtarzał uradowany — zaledwie odbyłem moją służbę wojskową, a mam już własną kawiarenkę.

W kinie w Piotrkowie ob. Sternschuss awanturował się o każdy napis niemiecki, walił o ziemię z pierwszego rzędu „Mieczem Rycerskim“ i ryczał:

— Nie rozumiem, nie rozumiem! Po jakiemu to napisane? Dlaczego nie ma polskich napisów? Dawajcie tu dyrektora kina! Oszukano mnie. Żądam zwrotu pieniędzy, będę skarżył. Dyrektora! Dyrektora!!

Z pierwszych rzędów chyłkiem wynosili się eleganccy panowie, austriaccy oficerowie, nie chcąc być świadkami awantury, a publiczność z początku milczała zaskoczona, a potem nagle zaczęła wyć z radości.

Ten porucznik w obcym dla Piotrkowian mundurze, poważny, wysoki, w monoklu, który ryczy, że nie rozumie po niemiecku, napelniał ich zachwytem.

— To jest naprawdę wojsko polskie, a nie żadne Austriaki.

Jakże szybko rozchodziły się te wiadomości po mieście i okolicy i jak wartko działały uświadamiająco, znacznie lepiej, niż ciężkie, polityczne referaty! Tłum był absolutnie z nami. Mimo to mieliśmy dość Piotrkowa, nie czuliśmy już serca dla Warszawy, tęskniliśmy za Lwowem coraz przemożniej...

VI
ZNOWU LWÓW

NOV 1 1902

I znowu Lwów, oczyszczony już z Moskali, lecz nie z wojennej atmosfery.

— Proszę wracać najspieszniej — pisze do mnie dr Starzewski, dyrektor Szpitala Powszechnego. — Lekarze na froncie, nie mamy sił do pracy w szpitalach.

Trudno. W legionach lekarzy w bród, a tam we Lwowie cywilna ludność bez opieki. Mój mąż wyjeżdża na front do I Brygady, ja obejmuję posadę lekarza sekundariusza w Szpitalu Powszechnym na Łyczakowie, na oddziale dla kobiet, przymusowo leczonych. Katorga pierwszorzędna. Przygotował mnie do tego dr Starzewski.

— Trzeba tu osoby energicznej. Myślę, że jeżeli pani dała sobie radę na wojnie z żołnierzami, to chyba da sobie też radę z tymi kobietami.

Mus to mus. Trudno. Nasi znoszą mękę wojenną w polu — mogę i ja też znieść przydzieloną robotę, ale powtarzam, katorga. Byłam przygotowana na najgorsze, a tymczasem, o dziwo. O ile początek straszny, o tyle następnie, więcej niż dobrze. A przecież... Z legunem było łatwo. Kiedy się chciałam pozbyć łazika, wołałam wyższą szarżę w spodniach

i jednym skinieniem pióra łazik szedł na front, a tu, co robić? Bywało, przychodziło nieraz do rękoczynów między pacjentkami, krzyki i kłótnie ogłuszały, lecz po jakimś czasie praca moja zaczęła wydawać niespodziane owoce. Zamieniłam przede wszystkim personel cywilny na zakonnice. Porządek nastał wielki, szacunek i ton przyzwoity. Znowu dostawałam laurki wstążeczką związane, tym razem od moich niesfornych pacjentek, które się stały posłuszne i spokojne.

W Gospodzie dla Legionistów, gdzie również pracowałam, umieściłam także zakonnice. Poznałam wówczas cały szereg wspaniałych postaci tzw. „Ligawek“, np. śp. Marię Dulębiankę, śp. Jadwigę Bohdanowiczową, rektorową Pawlewską, dwie panie Bartłowe (nie krewnie), dr Ancównę, dr Waniczkównę i tyle innych wartościowych kobiet.

Przewodniczyła wówczas Lidze Kobiet p. Michalina Mościcka, żona późniejszego Prezydenta Rzeczypospolitej. Co za typ człowieka! Ile taktu, rozumu i dobroci. Miała ona swój odrębny, nieopisane wielki styl. Kobieta o tak wysokiej klasie, umiała, jak nikt, stworzyć wokół siebie nastrój entuzjazmu i bezinteresowności. Każdy ją cenił, słuchał i kochał.

To schronisko legionowe musiało się zorganizować, gdyż Lwów stał się jakby ośrodkiem napływu legionistów. Panie z Ligi Kobiet zajmowały się stroną gospo-

darczą i kulturalną, ja miałam wyłącznie stronę sanitarną. Staraliśmy się, aby żołnierz nasz miał wypoczynek, nastrój swoisty, i aby nie demoralizował się na tyłach armii.

Mialiśmy z nimi dość kłopotów. Ledwo chłopaki poczuły matczyne skrzydła ligawkowe, już w ogóle ruszyć z miejsca nie chciały. Wszystkie sztuczki, w precyzyjny sposób kierowane były ku temu, aby ich ze schroniska nie ruszano. A więc jeden manewr główny: temperatura. Robiło się po prostu tak. Najpierw skarga na bóleści w brzuchu, a gdy przyszła na brzuch gorąca kasza w okładzie, szedł do niej chytrze termometr i 40 stopniowa gorączka gotowa. Nie można było obywatela z taką gorączką wyrzucać z łóżka, a tymczasem dla nowonapływających mas nie było miejsca.

Zrozumiałam w lot, że coś tu nie w porządku i zamieniłam zacne ligawki na zakonnice Zgromadzenia N. M. Panny. Dzielna przełożona, siostra Ewa, szybko ujęła ster w swe ręce i bez namysłu zmieniła porządek ordynacji: najpierw termometr, a potem okład z kaszy (bo kasza może mieć nawet więcej niż 40^o, mówiła ze swym słodkim uśmiechem siostra Ewa). Z jej przybyciem zdrowotność poprawiła się zdumiewająco, fantastyczne gorączki przestały trawić łożików, fale legionistów odpływały na front, my zaś mieliśmy miejsca do woli dla nowych pacjentów.

Mimo rygoru, jaki zaprowadziła siostra Ewa, wesoło było u nas w Gospodzie. Kwitła nawet poezja.

Oto dwa wierszyki napisane przez legunów, które przypadkowo przechowałam przez tyle lat.

Tak traktowany był Sanitariat przez braci leguńską.

WIERSZ O ŁAPIDUCHACH

Ospa, tyfus, cholera —
Hej, żołnierze, chować brzuchy,
Bo tu jadą lapiduchy,
To mi da, to mi da, lapiduchy.
Zaraz w brzuchu robią dziurę
I cholere wleją w skórę...
Żeby nie było za mało,
Wnet tyfusem żgną cię w ciało.
A jak mu nie umrzesz zaraz,
Będiesz z ospą miał ambaras.
Gdy żołądek masz zaparty,
Aspiryny weź pół kwarty.
Gdy cię w uchu zabolalo,
Aspiryny kwartę całą.
Kiedy ślepniesz bez przyczyny,
Łykaj wiadro aspiryny,
A gdy cię zatrząsie febra,
Zleją ci jodyną żebra.

Gdy wyrostek ci dolega,
Wnet jodyna zapobiega —
Kiedy rękę masz złamaną,
To smarują ci kolano —
A jak rannyś jest nieboże,
Tylko piła dopomoże,
To mi da, to mi da, łapiduchy.

Stosunek I Brygady do łazików z N. K. N.

O JABŁONKOWIE

Nie tak to *illo tempore* bywało,
Panie majorze, miły mój sąsiedzie,
Było dość grosza, a wydatków mało,
Piłem wyborny szampan przy obiedzie.
Dzisiaj, gdy diabli Jabłonków wzięli,
W Królestwie naszym przytułku nie dają,
Nie robią z nami żadnej ceregieli,
Jakieś tam ciągle służby wymyślają.
To jedź do Wiednia, nieraz na noc całą,
To do Krakowa na jakieś narady,
A już najgorzej, gdy lichy nadało,
Jechać z listami do Pierwszej Brygady.
Tam obdartusów banda cię otoczy,
Twój mundur zgrabny jest im w gardle kością,
Na nic tam szarża, na nic groźne oczy —
„Oddaj Jabłonków“, wołają z wściekłością.

Dzisiaj z władzami ciągle jakieś kwasy,
O dowód szarży każdy dureń pyta,
Bodaj to dawne jabłonkowskie czasy,
Kupiłeś gwiazdkę, przyszyłeś i kwita!
Dawniej, gdyś życie chciał rozjaśnić szare,
Lub kiedy puste dno wyrzało z wora,
Zafasowałeś feldculagów parę,
Dziś za fenrycha, jutro za majora.

*

Pewnego listopadowego poranku przyszła wiadomość, że Komendant przyjeżdża do Lwowa i zwiedzi naszą Gospodę. Szał ogarnął wszystkie ligawki i wszystkich legunów. Co wymyślić i jak uczcić Komendanta? Projektom nie było końca. Wreszcie po zaciekłych dyskusjach uchwalono dać chłopakom prawo uczczenia Komendanta według ich życzeń i planu. A plan — włosy dziś jeszcze stają dębem na głowie. Ni mniej, ni więcej tylko wachmistrz jeden, ex-uczeń Akademii Krakowskiej, zaproponował, aby każdy legun wymalował sobie i wyrzeźbił Komendanta, tak jak Go sobie wyobraża.

Chłopcy zażądali przede wszystkim stalug. Żaden nie chciał malować bez stalug. Kupiliśmy im trzy i musieliśmy wyznaczyć dyżury, nie sięgające ponad 3 godziny na każdego. W naszej Gospodzie przebywali przeważnie chłopacy z półinteligencji, ze sfer robotniczych, z nie zawsze ukończoną szkołą po-

wszechną, więc ci, napociwszy się przed stalugą, wpadali przeważnie w nastrój dopiero po trzech godzinach, akurat, gdy już następny się zgłaszał i wyrwał pędzel z ręki. Na efekt tych bojów „artystycznych” nie trzeba było długo czekać. Zaraz w pierwszą noc postawiono nas wszystkich na nogi. Mistrzowie porżnęli się nożami. Więc telefony po karetkę pogotowia, więc moje zabiegi chirurgiczne, więc oburzenie siostry Ewy.

Nastąpiła oczywiście przeprawa, egzekucja karna, zresztą wszystko na łagodno, gdyż już nazajutrz zjeżdżał Komendant. Wycofać niefortunnego, malarzkiego i rzeźbiarskiego projektu niesposób. Trzeba ubierać na gwałt całą salę owymi tworam i kunsztu artystycznego, gęsto krwią zbroczonego. Na ich widok załamaliśmy ręce. Stanie się chyba coś straszego, kiedy zawisną na ścianach te piekielne bohomy. Żeby choć jeden był do ludzi podobny i żeby było ich mniej. Gdzie tam! Ani jeden legun nie skrewił. Mimo bójk, popisali się wszyscy i — co robić teraz?

Produkcje te zgasiły we mnie całą radość zobaczenia Komendanta. Ze wszystkich kątów wyzierały teraz i ziały te straszne postacie, halucynacje umysłowo chorych. Ani ich zedrzyć, ani zmienić, ani zastąpić. Na wszystko za późno.

Komendant przyjeżdża, nadchodzi, otoczony adiutantami i komitetem. Wchodzi p. Michalina

Mościcka, z którą miałam razem witać dostojnego Gościa imieniem Gospody, a tu tymczasem kołacze tylko w mózgach straszliwe pytanie: jak Komendant zareaguje na te bohomazy?

— Pani Julo, niech się pani nie martwi, w tym jest dużo serca — szepnęła mi p. Mościcka, ściskając mocno za rękę.

Stoi Komendant przed nami, w maciejówce, szary mundur, twarz młoda, uśmiechnięta, brwi i wąsy nastroszone, a oczy... Straciłam przytomność. Poprzez mgłę widzę, jak Komendant zagląda do łóżek, podnosi koce, liczy prześcieradła:

— Dobrze, — powiada — nawet po dwa prześcieradła mają i łóżka czyste, wszów nie ma.

Wtem podnosi oczy na ścianę i staje jak wryty:

— A to co za małpy? pyta mnie nagle.

— Tttttto... Komendant w interpretacji żołnierzy — odpowiadam struchlała do głębi serca, ale patrzę odważnie.

Komendant aż zacharczał i wzięwszy się za boki, śmiał się i śmiał, jak nigdy chyba w życiu. Tak serdecznie śmiejącego się nie widziałam Go jeszcze. Od razu wyleciało mi wszystko z głowy: moje zmartwienia i pogotowie i bójki i egzekucja karna, a tylko dźwięczał mi w uszach wesoły śmiech Komendanta. Tak wesołym już Go nie widziałam ani na wspaniałym koncercie, urządzonym w Wielkim Teatrze przez Korolewicz-Waydową, ani na widok bajecznego po-

loneza, odtąnczonego przez najsłynniejszych artystów solistów, ani na uczcie w Kasynie Miejskim.

Byłyśmy dumne jak pawice, krocząc między tymi ścianami, skąd straszidła wychylały się ku nam, jak zmory.

*

A wojna trwa dalej. Znowu przyszły chwile ciężkie. Legiony rozwiązano. Rok 1917. Komendant w Magdeburgu. Najdzielniejsi internowani w obozach Szczypiorny, Beniaminowa, Havelberga.

P. O. W. działa. Austriaki wyłapują i ścigają Legionistów, a przez nasze mieszkanie, obok Szpitala Powszechnego, przesuwają się ciągle jakieś tajemnicze cienie. Bywały i indywidua spod ciemnej gwiazdy, ale bywały i takie cudne postacie, jak kpt. Tadeusz Schätzel, przebrany za montera, jak Tadeusz Hołówko — za ordynansa, Dojan Surówka za ślusarza, a raz nawet... Stoję na sali i mam jakąś zawiłą kwestię do rozwiązania, o konieczności np. płukania gardła do spluwaczek, a nie na głowę sąsiadki, a wtem, dyskretnie, porozumiewawczo mrużąc, melduje jedna z dziewczec z oddziału, że przyszedł do pani doktor „facet“. Oglądam się gniewnie i widzę, między naszymi dziewczecami, nazywanymi „gracje“, stoi jakaś postać w kurtce, cyklistówce na głowie, wysokich butach na nogach i śmieje się swoistym, uwodzicielskim uśmiechem. Wieniawa? Jak Boga kocham, Wieniawa. On nawet w prze-

braniu szofera był zawsze Wieniawą. Jak się dostał przez strażę i drzwi szpitalne mocno strzeżone? Na moje pytanie odpowiedział wesoło: „Wieniawa zawsze co chce, to może“. Dotychczas jest dla mnie zagadką, jak mógł ten oficer, kawalerzysta w „każdym calu“, jechać w jakimkolwiek bądź przebraniu do Rosji? Przecież każdy analfabeta musiał go poznać na sto mil!

Innym razem wpada pułkownik Bartha, 16 lutego akurat na moje imieniny. Goście są zaproszeni, samych Dreszerów przyszło osiem sztuk, Bolcio Pochmarski, por. Borin i tylu innych, a pączków jeden półmisek. Pułkownik Bartha przysunął ten półmisek do siebie i zaczyna jeść z niego wprost, pączek za pączkiem, opowiadając o swych czynach, ciekawych i bohaterskich. Pączki niknęły, niczym gałki w dziobie indora, a goście zaczynają się niepokoić. Przy ostatnim pączku, Bolcio Pochmarski zauważa złośliwie:

— Czy to aby panu nie zaszkodzi?

A pułkownik na to łagodnie:

— Skądże? Porucznik Borin może zaświadczyć, że potrafię jeszcze zjeść przynajmniej jedno prosię i dwa indyki. Właśnie tak zjadłem przedwczoraj.

Niestety, wówczas nawet o drugi półmisek pączków postarać się nie mogłam. Były to czasy wojny. Dotychczas nie może mi tego darować poseł Bolcio Pochmarski.

Dowiedziałam się wkrótce potem, że pułkownik Bartha zmarł w Odesie skutkiem ran odniesionych na polu walki z bolszewikami.

Ale ciągle napływali do nas goście zza kordonu.

— Paniusiu, skąd oni wiedzą w Odesie, że my dziś mamy wolną kanapę? Bo wczoraj to wiedzieli w Moskwie... — pyta służąca, nasza poczwiwa Julcia, ścieląc coraz to dla kogo innego historyczną kanapę.

— Po panu Hołowce jeszcze kanapa nie wypoczęła, a już przyjechał ten z Kijowa.

I coraz więcej ich zaczęło teraz zjeżdżać. Sypały się po prostu legionisty z rozbitych formacji, nie mogliśmy pomieścić napływających w naszych malutkich trzech pokoikach, z których dwa były przeznaczone dla chorych. Pacjentki siedziały pod parasolami w pokoju, zasłaniając się nimi, gdy tymczasem tajemnicze postacie biegały w tę i tamtą stronę.

Wreszcie postanowiłam się zwierzyć siostrze Kazimierze, szarytce, która rządziła pralnią i szwalnią.

Wytłumaczyłam jej sytuację. Po rozsypce Legionów chłopaki nasze nie miały prawa do pomocy lekarskiej, nie miały gdzie się schronić, gdzie prać bieliznę, gdzie się pożywić. Siostra Kazimiera zrozumiała.

Wiedziałam do kogo się zwracam. Wisiał u niej zawsze dwustronny obraz: na jednej stronie portret Komendanta, na drugiej obraz św. Józefa i tak,

stosownie do okoliczności, obracała obraz siostra Kazimiera.

W porozumieniu z moimi serdecznymi przyjaciółmi i szefami, dyrektorem Starzewskim i prof. Lenartowiczem, zaczęłyśmy pracować bielizną legionową, a pod pretekstem tej bielizny, chłopaki nasze siedziały stale u siostry Kazimierzy w szwalni, kryjąc się przed władzami austriackimi. Po całych dniach i nocach bezdomne żołnierzyki spały, jadły i piły u siostry Kazimierzy, a co za duby smalone pletli naiwnej staruszce o swych wyczynach bojowych — pojęcie przechodzi. Wokół siostry, szyjąc i cerując, pochlipywały żałośnie i podsuwały koloryzującym legunom co większe porcje dobrze okraszonej kaszy z wędzonką.

Zdarzała się czasem rewizja. Raz pamiętam krzyk: idą! Siostra daje umówione hasło, chłopaki zdążyły zwać na dach, po drabinie, która ozdabiała środek szwalni, tylko jeden zagapił się. W mgnieniu oka jednak znalazł się pod fałdzystą spódnicą siostry Kazimierzy. Staruszka trzymała się dzielnie w tej niewątpliwie sensacyjnej dla niej sytuacji, Nie zdradziła się niczym, może tylko głos jej brzmiał jak na zakonnicę za silnie, gdy odpowiadała na pytania dyrekcji. Lecz gdy tylko rewizja wyszła z sali, spod spódnicy pokazał się legun.

— Uff, jak tam gorąco u wielbnej siostry — dyszał spocony. Lecz sprawa wygrana, nikt nie

zauważył czterech nóg u siostry, wysuwających się spod zakonnej spódnicy.

*

Była to prawdziwa perła ta siostra Kazimiera, szarytka. Umarła w strasznych męczarniach na złośliwy nowotwór w kręgosłupie. Ale dopiero po odzyskaniu Polski Niepodległej. Należała się jej ta Polska Niepodległa. Duch jej najczystszy siedzi na pewno wśród aniołów i legunów, blisko tronu i blisko Marszałka, którego tak bardzo za życia kochała.

Leguńska nasza dusza.

the first of these is the fact that the majority of the specimens are of the same sex, and the second is the fact that the majority of the specimens are of the same age.

The first of these is the fact that the majority of the specimens are of the same sex, and the second is the fact that the majority of the specimens are of the same age. The first of these is the fact that the majority of the specimens are of the same sex, and the second is the fact that the majority of the specimens are of the same age. The first of these is the fact that the majority of the specimens are of the same sex, and the second is the fact that the majority of the specimens are of the same age. The first of these is the fact that the majority of the specimens are of the same sex, and the second is the fact that the majority of the specimens are of the same age.

VII

POLSKA NIEPODLEGŁA

VII

POLESKA NIEPODLEGŁA

Wreszcie owa nowa era. Polska wolna. Rok 1918. Wszyscy trzej najeźdźcy odrzuceni z jej granic. Prawdziwa niepodległość.

Nie wiem, jak tam było, gdzie ona przyszła w radości i szczęściu, u nas nie było żadnej radości, bo z ukończeniem wojny, na Galicję spadła wojna ukraińska. Głód, chłód i walki na ulicach, o każdy kąt, o każdy kamień... Ba! nie tylko na ulicach, ale i w domach się bili: na jednym piętrze zdarzało się, byliśmy my, na drugim Rusini i tak się strzelali nawzajem z karabinów maszynowych, ponad głowami cywilnej ludności.

Zresztą nie było we Lwowie cywilnej ludności. Wszystko walczyło. Pamiętam jakiś listopadowy ranek, szary, pogrążony w smutku i mgle. Tonęli w niej przechodnie i sam Szpitalik Dziecięcy św. Zofii, w którym właśnie pracowałam. Na sali operacyjnej zaduch, całą noc operowało się i opatrywało ciężko ranne dzieci, przywożone z ostrzeliwanych domów, lub wprost z ulicy. Rusini strzelali zazwyczaj w dzień, więc rannych można było przewozić dopiero o zmroku, inaczej można było trafić nie do szpitala,

lecz wprost na cmentarz. Dlatego to pracowaliśmy całymi nocami, wieczorem otrzymując transporty.

Nie wiem, czy potrafię wyrazić, jaki żal ogarnia człowieka, gdy widzi ranne dziecko. Dziecko chore, to zawsze niepokoi, ale dziecko ranne od działań wojennych, robi wrażenie czegoś tak boleśnie okrutnego, że każda z nas, lekarzy, uodpornionych chyba na cierpienie, nie jest w stanie długo pracować w takich warunkach. Właśnie w tym celu, aby odpocząć po okropnych widokach i zagłuszyć wewnętrzny płacz, wysłałam na dziedziniec szpitalny. Blisko, tuż, rozlegał się automatyczny grzechot karabinów maszynowych, od czasu do czasu następował jakiś wybuch pocisku. Patrzyłam w chłodną mgłę i myślałam z rozpaczą: kiedy to się wszystko skończy? Wtem głos dźwięczny huknął z boku:

— Tam do cholery, mają amunicję, czy nie?

Wyteżam wzrok, widzę hełm złocisty, minę zadzierzystą, kapitan Kordian Zamorski, komendant naszego odcinka Łyczaków.

— A? pani doktor? Jak się macie? Czekam tu do cholery i nie mogę się doczekać wiadomości, czy te smarkacze mają tam amunicję, czy jej nie mają. Zresztą sam nie mam za dużo. A jak się nie utrzymamy, to nas siekać będą jak kotlety. A was także razem z nami — dodał na pocieszenie tonem bardziej łagodnym.

Był to zwykły styl kapitana, zwanego powszechnie Zamordiankiem. Styl ten, twardy i żołnierski, pokrywał w nim niezwykłą subtelność i dobroć gołębiej duszy, czulej na piękno i ludzkie cierpienie. Duszy artysty...

I tak dalej kłął Zamordianek i patrzył niespokojnie na górkę św. Antoniego, wznoszącą się w odległości 200 metrów, na której znajdowała się nasza ważna pozycja z „zasmarkanymi” żołnierzami.

Wtem przywidziało mi się, jak gdyby zająć przeleciał. Nie, to jakaś ludzka postać. Zbyt duża to ona nie była, może 1 metr wzrostu. Powagi dodawały jej tatowe buty, tatowa kurtka o przydługich rękawach, czapka austriacka, chyba z wujka, i orzełek strzelecki. Strój ten czynił figurkę jeszcze bardziej nikłą, trochę zabawną i naprawdę podobną do zająca. Malec rozglądał się roztropnie, szukając kogoś najwidoczniej. Odkrył wreszcie złocisty hełm komendanta, więc czym prędzej, głosikiem piskliwym, przeciągającym po łyżakowsku, zaskrzeczał służbiście:

— Szeregowiec Józef Zajac (istotnie nazywał się Zajac) melduję posłusznie, co na górze już ładunków nie majom...

To mówiąc zasalutował lewą ręką kapitanowi, nie omieszkawszy obrzucić mnie spojrzeniem pewnej wyższości, jakby gwiżdżąc na mój fartuszek „kobicki”. Rozśmieszył ten malec kapitana.

— Dobrze, dobrze, ale nie mogli ci tam z góry przysłać jakiegoś większego.

— Ta joj! Ta większy by się nie przedostał bez szparę w płocie.

— Dobra, ale na drugi raz zapamiętaj, że żołnierz prawą ręką salutuje, nie lewą... — pokonując wzruszenie, surowym głosem upomniął kapitan.

— Ta to się wi! — z pewnym zawstydzeniem odrzucił malec, — ale prawą rękę to mi uszkodzili.

I w tym momencie chłopczyna wyjął z kieszeni tatusiowej kapoty, ociekającą krwią, drobną, dziecinną rączynę.

— Tak mnie zdzielili, kiedym się darł bez parkan.

Wtedy dopiero zauważyliśmy, że chłopak był sino blady, drżący i utratą krwi osłabiony, tak że ledwo się trzymał na swoich małych nożynach. W końcu, nagle się wywrócił, padając leciutko na ziemię, jak gdyby po prostu dla żartu fiknął kozła.

Za chwilę niosłam malca w fartuchu do sali operacyjnej, w parę minut ukończyliśmy zabieg chirurgiczny i chłopczyna zasnął w cieple, smacznie, oparty o ramię szarytki.

Ileż takich Józków zrosiło krwią ulice polskiego od wieków i na wieki Lwowa!

Wreszcie głód, prawdziwy głód — zabrakło nawet chleba.

Komitet Obywatelski dzieli bochenek chleba na całą kamienicę — wypada kromka na mieszkańca. Jadamy tylko zupę z chleba, zalanego gorącą wodą.

Kapitan Kordian Zamorski przysyła nam ryby. Uczta. Sam przychodzi także i siedzi przy stole, lecz nic nie je, zapięty na wszystkie guziki. Na tysiącokrotne nasze zapytania, co myśli o wyniku wojny o Lwów, odpowiada niezmiennie:

— A no na pewno wygramy, albo na pewno nie wygramy.

Wreszcie po kolacji oświadcza nam najspokojniej, że ryby były zatrute, bo pochodziły z zatrutej wody, a on chciał tylko na nas je wypróbować, zanim je da żołnierzom. Momentalnie dostajemy kurczy żoładków i takich boleści, że aż jęczymy, a na każdy nasz jęk Zamordianek powiada łagodnie, lecz zgorszony:

— Chcielibyście, żebym ja na żołnierzach ryby próbował — ha?

A nagle zapał wesołym śmiechem:

— A to ci awantura! Za kogo wy mnie macie, żeście tak łatwo uwierzyli? Będę ryby zatrute podawał, czy co? Ot wdzięczność! Za własne pieniądze kupiłem te ryby, prywatnie, by przyjaciół nakarmić, a tu wśród Rusinów człowiek na truciciela wychodzi. We wszystko wierzą, to ci ludzie dopiero.

Były to czasy, były to czasy!...

Przychodzili, wychodzili, przynosili jakieś paczki, zabierali inne, czy te same. Nikt nie kontrolował, nikt nie wiedział, czy to dynamit, czy chleb. Ani nagród, ani kary, mało kto się doczekał — zanim doszła bowiem, zginął. Taki sierżant Kopeć na przykład. Zorganizował sobie pułk, wspaniale nim dowodził, ale za samowolne nadanie sobie szarży miał być ukarany. Zanim to się stało, zginął bohatersko pod murami Lwowa. Raz wpadł do nas z dużą paczką i bez słowa schował ją w łazience. Ledwo wyszedł: patrol ukraińska pod naszą kamienicą. Siedzieliśmy właśnie przy kolacji, w 5 osób: ja z siostrą, bracia Włodek i Stefan Mozołowsky, i Kazek Świtalski. Okna nasze znalazły się pod obstrzałem. Nie wiem, w jaki sposób znalazłam się pod łóżkiem, okręcona poduszką, w każdym razie szybkość moich ruchów wtedy okazała się imponująca, bo wszyscy później gratulowali mi sprawności. Ściśnięta pod łóżkiem, przypominam sobie nagle, że mamy rewolwer Włodka Mozołowskiego w mieszkaniu, o jednym wystrzelonym ładunku. W oka mgnieniu chwytam rewolwer i pakuję go w pierze, w poduszkę.

Chwila denerwującego oczekiwania i schody dudnią. Idzie banda Ukraińców z austriackim leitnantem na czele. Dzwonek. Otwieram drzwi, jestem odważna, bo w tej chwili nie strzelają. Tymczasem leitnant przystawia mi do piersi rewolwer i pyta:

— Gdzie broń?

— Proszę schować rewolwer, — odpowiadam drżącym głosem, — przecież w tej pozycji nie możemy rozmawiać.

Przeprasza mnie odruchowo i wraz z ludźmi wchodzi, przeszukując i przewracając wszystko do góry nogami. Zabierają się w końcu do poduszek, krają je, puch lata w około jak śnieg, a przy tym powtarzają się miłe groźby, że w razie znalezienia jednego rewolweru, pójdziemy pod ściankę wszyscy.

— Tak, wszystkich was rozstrzelamy, — powtarza z upodobaniem leitnant, trzymając „moją“ poduszkę w ramionach. Przestaję po prostu oddychać, jakieś czarne muszki zaczynają mi wirować przed oczami, tworząc zawile, geometryczne figury, lecimy wszyscy w przepaść, zimny pot oblewa mi ciało, z „mojej“ poduszki leci już pierze także, a rewolweru, który tam wsunęłam, jak nie ma, tak nie ma.

Okazało się, że w tym momencie, gdy rozmawiałam z intruzami przy drzwiach, Kazek Świtalski wyjął z poduszki rewolwer i cisnął go do rezerwoaru z wodą do umywalni w łazience. Chowam dotychczas tę pamiątkową umywalnię.

Czego tam nie było w łazience! Ale Rusini się spieszyli, zdenerwowało ich ponadto, że nagle ujrzawszy swoje twarze w lustrze, strzelili doń, zawstydzili ich to, więc wynieśli się prędzej, niż zamierzali (nie zaglądali do łazienki), zabierając Włodka

Mozołowskiego ze sobą, a w łazience nie tylko leżał w wodzie rewolwer, lecz w paczce, pozostawionej przez Kopcia, znajdowały się bomby, granaty ręczne i ...aparat telefoniczny. Słowem wszystko, co potrzebne było, abyśmy się znaleźli pod ścianką.

Co teraz zrobić z tym składem? Żaden mężczyzna nie może wynieść paczek, bo rewidują na ulicach jak diabły. Decyduje się Wisia Jaroszewiczówna (dziś dr medycyny, pułkownikowa Stefanowa Mozołowska), zwana Wiśką „Białą” w przeciwieństwie do swej „Czarnej” bratowej. Bierze wszystkie te okropności pod pelerynkę i wychodzi do Domu Techników, pozornie spokojnie, ze Stefanem Mozołowskim pod rękę, jak czuła para. Przed nimi o parę kroków idzie Kazek Świtalski, z chustką do nosa w pogotowiu. W razie spotkania, ma demonstracyjnie utrząć nosa. Na szczęście nie zaszła potrzeba ucierania nosa...

*

Były to czasy okropne, może najgorsze z całego okresu wojny, oczekiwania na odsiecz przewlekały się w nieskończoność, miasto huczało wciąż od strzałów, dzieci i kobiety ginęły, wraz z żołnierzami. Nad miastem niezliczone stada ptactwa. Złowieszczo kraczą wrony, potęgując tym wrzaskiem beznadziejność oczekiwania. Kresu walk nie było widać. Wreszcie Kazek Świtalski postanowił polecieć do Krakowa samolotem po pomoc. Siostry szarytki leżały

krzyżem całą noc, modląc się o szczęśliwą dla niego podróż. Nam serca były...

Wreszcie po 48 godzinach, które nam się wiekiem wydawały, powraca Kazek. Przebrany za wieśniaka, wnosi worek kartofli i cicho zawiadamia, że idzie odsiecz. Lwów będzie lada godzina wolny... Po tych słowach znika, a my trwamy jak w narkozie, odurzeni, uszczęśliwieni. Sen to, bajka? czy rzeczywistość?

*

Gdy się to stało, gdy przyszła odsiecz, entuzjazmu opisać się nie da. Jeszcze dziś po tylu latach, nie ma Lwowianina, który by wspominając te chwile nie chrząkał i chyłkiem nie ocierał łez.

O 6 rano weszły wojska z muzyką i ze śpiewami. Nasze, piękne, legionowe pieśni. Pamiętam, że dopiero wieczorem zauważyłam, że jestem tylko w koszuli. Na bosych nogach pantofle i futro na ramionach. Raz w życiu tylko można przeżyć taki szal, takie upojenie, taki triumf.

Teraz wreszcie wolna już Polska, od morza do morza, od Karpat po Gdańsk.

*

Jazda do Warszawy, do Belwederu.

Warszawa. Przyjeżdżam, wciąż jak we śnie i dostaję w Belwederze kwaterę. Myślę, że to miała być nagroda za te wszystkie inne wojskowe kwatery.

Plac z krążgankami, kasztany wokół, jeszcze bez liści, w pałacu łóżko wygodne, jedzenie przedwojenne, wykwintne, białe konie do wyjazdu, a przez okno od czasu do czasu, nagroda najwyższa: sylwetka Komendanta, otoczonego adiutantami.

A jakie to były wtedy adiutanty! Gdzie się rodziły takie husarze, strzeliste i piękne? Por. Janusz Olszamowski, por. Stanisław Kobylański, por. ks. Radziwiłł, por. Antek Trzaska-Durski, por. Kazik Stamirowski, chłopcy jak z obrazka zdjęci.

*

No i znowu szukanie pracy. Człowiek tak nawykł do niej, że w beczynności rady sobie dać nie mógł. Otrzymuję przydział sanitarny przy doktorze Wernicu, w Komisji dla spraw walki z nieładem. Pierwsza kobieta-lekarz w tej Komisji. Posiedzenia i posiedzenia, sprawy bądź co bądź ważne. A wreszcie pierwszy akt współpracy obywatelskiej z wojskiem.

— Wojsko nas wzywa, słyszy pani? — woła z zachwytem do mnie, wieczny entuzjasta dr Wernic. — Pani pójdzie z nami na posiedzenie, będzie rażniej. (Doktor jak zwykle nie ma czasu). Po drodze powiem pani, o co chodzi...

Idziemy do pałacu Mostowskich, moc mundurów, moc szarż. Przewodniczy generał od zębów Zwierzchowski. Akcentuje wybitnie z rosyjska:

— Zaprosiłem państwa na rozwiadek. Jak państwo uważacie, czy mają być w naszej armii domy cierpimości... (Ktoś podpowiada: tolerancji). Nu... nu... tolerancji. Jak zwał, tak zwał. Może się państwo wypowiecie, bo ja uważam, Niemcy mądry naród, wyprzedzili nas w nowościach, podnieśli zdrowotność, znaczy się domy takie utworzyli. Pan kapitan przedstawi nam fakty i przykłady...

Następuje jakiś krótki, malowniczy referacik, z którego istotnie wynika, że zmniejszyła się ilość chorób wenerycznych w wojsku niemieckim, po odpowiednim usystematyzowaniu ochrony sanitarnej. Po kapitanie każdy zabiera głos, ranga po randze, po starszeństwie. Mówią niewyraźnie, krótko, z ociąganiem, zastrzeżeniami, niepewnie.

— Znaczy się, — powiada generał od zębów, — panowie są mego zdania.

Na to już nie wytrzymałam i wyrzuciłam ze siebie moc słów, niczym karabin maszynowy.

— Myślę też, że Niemcy mądry naród, ale nie zawsze trzeba kroczyć tymi samymi śladami. Niemcy przede wszystkim mieli podczas wojny żołnierzy starszych, rezerwę, przyzwyczajoną do życia rodzinnego. U nas zaś są przeważnie chłopcy młodzi, wąтли, nie ponad 20 lat. W myśl zasad eugeniki, nauka wykazuje, że im później życie seksualne się budzi, tym lepsze daje to rezultaty dla jednostki

i przyszłych pokoleń. A zresztą dlaczego w naszej młodej, polskiej armii, pierwszą placówką, którą uruchomiamy, ma być dom tolerancji? Musimy dążyć, by energię życiową skierować w młodziutkim wojsku na tory właściwe, sportowe, wysiłków fizycznych zdrowych i normalnych. Uważam, że przyniosłoby to nam wstyd, gdybyśmy tę placówkę na pierwszym miejscu stworzyli. Wstyd dla nas i dla naszej młodej armii.

Aż zatchnęło starego generała. Spojrzał na mnie groźnie i wybąkał:

— A takie domy tolerancji są, były i będą. Słowa pani doktor są znaczy się, piękne, ale niezyciowe. Zebranie uważam za skończone...

Poszliśmy do domu jak zmyci. Wieczorem, zebranie w Belwederze. Przedstawianie Komendantowi wszystkich żon oficerskich. Komendant w świetnym humorze, rzuca parę słów do mnie, rozkładając pasjansa:

— A dobrodzika czemu nie w humorze?

— Co mam być w humorze, Komendancie, kiedy będziemy w wojsku domy publiczne zakładać.

— Można i tak, — odpowiada Komendant w zamyśleniu, przekładając karty z ręki do ręki. Patrzę z żalem, zdziwiona. Nagle, niespodziewanie odzywa się Komendant znowu:

— Co będziecie zakładać, powiedziała dobrodzika?

Opowiadam od początku, bo widocznie, nie słuchał mojej poprzedniej, bezładnej gadaniny. Teraz czuję i widzę, że uważa, więc referuję jak z nut.

— Nic z tego nie będzie, — ucina krótko Komendant. A ja zrywam się uradowana i szczęśliwa, omal nie ze łzami w oczach i powiadam:

— Dziękuję, Komendancie...

Wygrana na całej linii.

*

I znowu przyszły inne czasy. Rok 1924. Na wozie i pod wozem, jak to u nas. Komendant wyszedł dobrowolnie z Belwederu i zamknął się w Sulejówku. Czasem tylko wpadał do Warszawy i wtedy często zajeżdżał do nas na Kruczą. Czemu sobie upodobał ten wstrętny lokal? — nie wiadomo. Widocznie lubił nasz bałagan. Widocznie przypominał mu jego czasy studencko-konspiracyjne.

Raz pamiętam noc. Po raz pierwszy nocuje u nas na Kruczej. Komendant śpi. My czuwamy — wzruszenie, a może przecucie, czy obawa, nie daje zasnąć. Staramy się ledwo oddychać w mieszkaniu, aby nie przerwać Jego snu. Nagle o 9 rano huk straszliwy.

Biegnę do okna przerażona: pewnie zamach na Komendanta. Wszystkie szyby naprzeciwko wyleciały, cisza niespokojna, nadsluchiwanie, wpadamy do Komendanta. Siedzi na łóżku i śmieje się, cały

obsypany szkłem z wysadzonych szyb. Ochronił go od skaleczenia bukiet. Olbrzymi bukiet ślubny białych róż z welonem, który mu wprost z kościoła przyniosła panna młoda, żona porucznika 1 pułku szwoleżerów, a który na szczęście ustawiłam akuratnie między oknem a Komendantem.

Nieśmiało, a uważnie patrzę na Komendanta, czy jednak nie ranny, i półprytomna pytam:

— Czy może lekarza?

— A po co? Nic się nie stało.

Huk pochodził z zamachu na Cytadelę (13 października 1924).

— Trzeba tylko Komendantową zawiadomić, że wszystko w porządku, żeby była spokojna.

— Komendant nie lubi lekarzy, prawda? — pytam dalej niezupełnie oprzytomniała.

— Nie to, żebym nie lubił, ale po co robią takie poważne miny? Nic nie wiedzą a udają. Raz każą jaja na twardo, raz na miękko, a raz wcale. Tak samo z pomidorami. Ot i wszystko, a zawsze na uroczyście, na poważnie.

— A może kremu, Komendancie, bo ręka widzę szkłem zadrapana?

— Nie zadrapana, tylko moja wysypka artretyczna.

— „Mój krem“ dobry do rąk, przyzwyczaiłam się do niego, raz posmarowałam sobie twarz, kiedy ząb bolał i też pomogło. Wolę jednak krem na

talerzu. (Komendant jadał z legumin najchętniej kremy).

— Pani wszystko na wesoło. Ja lubię na wesoło. Wino Jędrusia Moraczewskiego, owszem, uznaję.

Właśnie przed paru tygodniami przyniósł dla Komendanta poseł Moraczewski flaszkę owocowego wina swojej roboty, do nas, do domu. Nie zastawszy nikogo, zostawił flaszkę na dole u fryzjera, ten zaś, nie wiedząc, co ma w ręku, sprzedał ją omyłkowo jakiejś paniusi, jako płyn na porost włosów. Najważniejsze, że jej podobno pomogło i, że stale o ten płyn się upominała.

Gdy przyszedł Moraczewski i gdy ten incydent z winem opowiedziałam Komendantowi, serdecznie się uśmieł.

— Jędrusiu! Fabrykę będziesz zakładał, konkurencję pani Julii zrobisz...

Szcześliwa, że się tak wszystko skończyło, pytam dalej Komendanta.

— Doktorów Komendant nie lubi. A Sławoj, a Piestrzyński, a Rouppert?

— Stachurek to co innego, Sławoj także, a Piestrzyński nie nudzi mnie medycyną, a za to umie mapę na pamięć. Co dzień ze mną ją przerabia.

— No, ale na Syberii, przydały się Komendantowi studia medyczne?

— Myślałem, że mi się przydadzą, chciałem tam ich leczyć, ale nie dali się. Natomiast kadryla ich

nauczyłem. Do dziś dnia tam tańczą tego kontredansa i polskim tańcem go nazywają.

— A chirurgii też Komendant nie uznaje?

— O chirurgia to insza rzecz! — odparł w zamyśleniu. — Wytną człowiekowi to, co go boli i już.

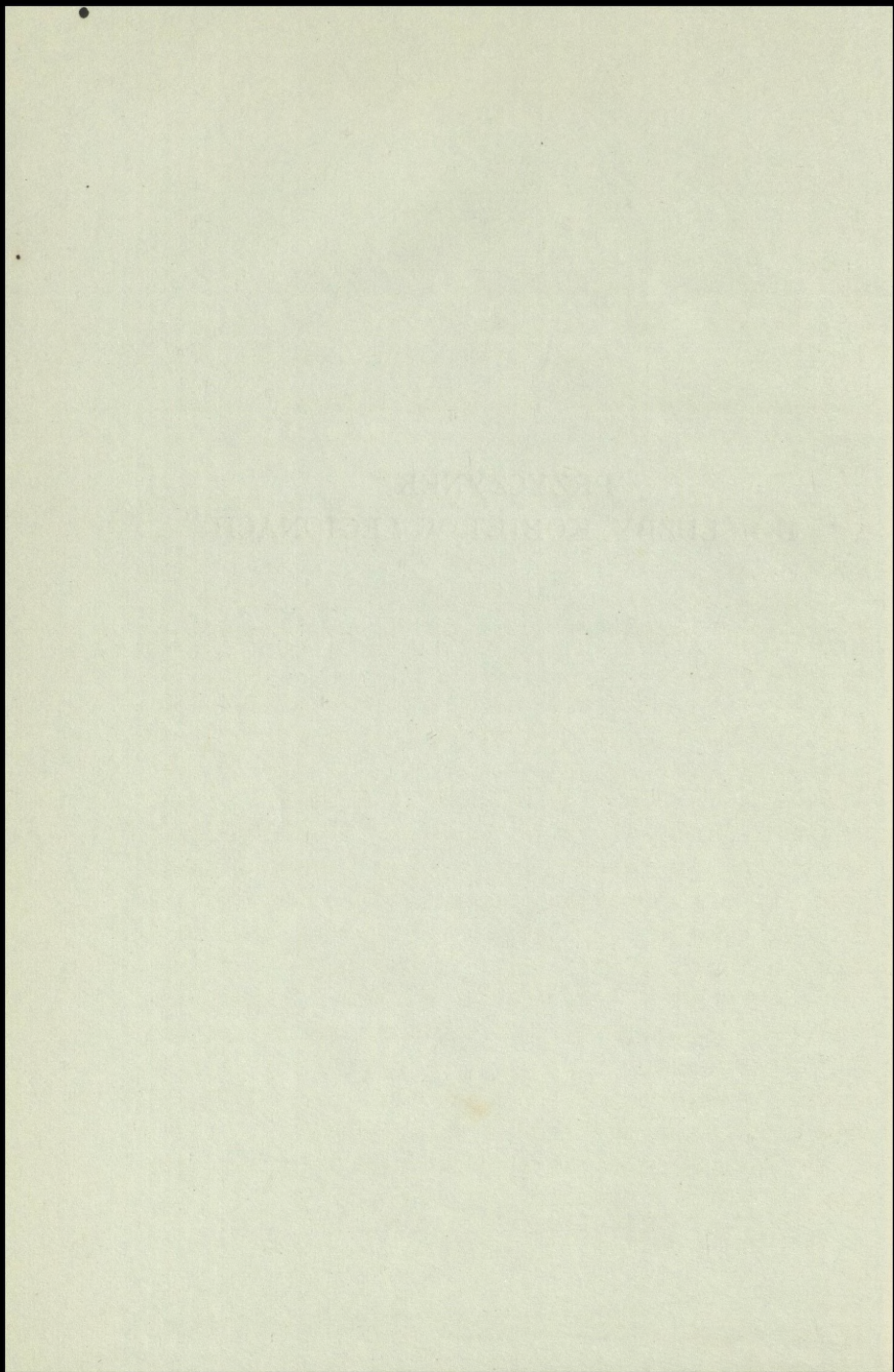
Nie przeczuwał, że u kresu Jego wędrówki życiowej, po latach wielu od tej rozmowy, nie będą mogli Mu wyciąć, co trzeba i że chirurgia nie zawsze „insza rzecz“, gdy na człowieka koniec przyjdzie.

Teraz gdy oczy zamknę, a nie słyszę już odgłosu żalobnych werbli, które nas prześladowały przez tyle tygodni, zdaje mi się, że tylko odszedł w zaświaty Komendant, że nie umarł. Jakże mógł umrzeć ktoś, kogo wciąż czujemy przy sobie mocnym, żywym i tak bardzo bliskim.

Myślę, że siedzi na tronie niebieskim, że ma u boku swoje leguny i że przyjmuje ich meldunki z coraz to innych formacji, patrząc swoimi silnymi oczami w przeszłość tych, którzy już przyszli, i w przyszłość tych, którzy jeszcze przyjść mają.

KONIEC

PRZYZYNEK
DO SŁUŻBY KOBIET W LEGIONACH



Pisząc wspomnienia z mej służby sanitarnej w Legionach, nie mogę pominąć milczeniem ówczesnej pracy kobiet. Nie może tu być mowy o wiernym podaniu całokształtu ich pracy. Jedynie nieliczne fragmenty, które widziałam lub które doszły do mej wiadomości, pragnę utrwalić w pamięci.

Kobieca służba w ogólnych zarysach rozpadała się na 4 działy: 1) wywiad, 2) sanitariat, 3) dział pomocniczy, 4) praca w linii.

Pracę w tych działach objęły przede wszystkim członkinie Żeńskich Oddziałów Strzeleckich, które utworzyły się z połączenia zmobilizowanych żeńskich oddziałów Związku Strzeleckiego i Drużyn Strzeleckich (z Krakowa, Lwowa, Rzeszowa, Trembowli itd.), uzupełnionych ochotniczkami zgłoszonymi w pierwszych dniach wojny z terenu zajętego wojną i z uniwersytetów zagranicznych. Komendantką Żeńskich Oddziałów Strzeleckich, wyznaczoną przez Komendę w Krakowie, była Janina Antoniewiczówna (Dąbrowa); zastępczynią komendantki — Wanda Jastrzębiec Popławska; komendantką kolumny sanitarnej była Zośka Dobijanka, a służby łączności — Jadwiga Kadyi Kwiatkowska; w Komisariacie W. P. pracowała Sonka K. Lorecowa i inne; w intendenturze — Klara Szrencel.

Nie jestem w możności wymienić nazwisk kobiet, pracujących w służbie wywiadowczej.

Służba niewiast w wywiadzie, to już kategoria najprawdziwszych bohaterstw; mają one swoją oddzielną historię.* Nazwiska kobiet tych w dziejach Polski zostaną zapisane zapewne złotymi zgłoskami. Ale i służba w sanitariacie nie była pozbawiona szalonego poświęcenia i zasług. Ewidencji wówczas, niestety, nie było; ale, o ile mnie pamięć nie zawodzi, sanitariuszek w Legionach było około 100, w tej liczbie: 3 z doktoratem medycyny, 3 z doktoratem filozofii, reszta przeważnie studentki z uniwersytetu i wyższych uczelni, lub nawet uczennice szkół średnich (głównie seminarium nauczycielskiego), kilka młodych nauczycielek gimnazjum i szkół powszechnych, a bardzo mały procent z wykształceniem niższym.

Przeciętny wiek sanitariuszki legionowej wahał się między 15 a 25 rokiem życia, było jednak kilka w wieku ponad 30 lat.

Na Śląsku podział sanitariuszek przedstawiał się mniej więcej tak: największe skupienie było w Jabłonkowie i okolicy, tam była komenda placu i szpitala.

W szpitalu na Szyglach pracowały pod komendą Marii Siegmajerówny (obecnie Dehnelowej), która miała ukończony wiedeński Instytut Pielęgniarski: Dawiskibówna, Janina Niewiadomska (poległa w 1919 w obronie Lwowa), Genia Guzikówna, Bronka Hesinkówna, Aniela Sławkówna, Ludka Kossowska, Malwina Lewicka, Zofka Plewińska (obecnie Smidowiczowa, art. malarka).

W szpitalu dla zakaźnych w Nawsiu (cholerycznym): Ela Guzikówna, Marysia Janicka (ob. Drzymulska), Zosia Sikorska („Kapitan“ ob. Jaxa-Bykowska), Baśka Kossuthówna, Stasia Jaworska, Tosia Pacyżanka zw. „Czerwoną“.

* Szczegóły w wydawnictwie zbiorowym pt. „Wierna służba“ i Zawiszkanki: „Poprzez fronty“.

W szpitalu u ks. pastora Michejdy: Anka Minkowska, Kazia Machówna (od końca grudnia były w szp. dla zakaźnych), Maryna Grzesikówna (ob. Czyżowa).

W szpitalu w Wędryni: Halka Szmoniewska, Jadwiga Köhler-Mozołowska, zwana „Czarną Wisią“, Ewa i Janka siostry Krajewskie, Katarzyna Miljanówna.

W ekspozyturach komendy pracowały: Dąbrowa, Z. Dobijanka, Regina Fleszarowa, Hanna Rzepecka (Szczęsna ob. Pohoska), Lili Górecka, Sydonia Horowitzówna (ob. Małecka), i znana działaczka oświatowa — Helena Radlińska.

Wiele dzielnych niewiast w służbie pomocniczej szyło mundury, czapki-maciejówki, plecaki, bieliznę żołnierską, robiły swetry, szaliki, rękawice; inne były zajęte na dworcach, w jadłodajniach, w herbaciarniach, pralniach. Praca ta wrzała na całej przestrzeni od Ostrawy Morawskiej do Nowego Targu i Żywca, i od Krakowa po Kielce, w miarę posuwania się frontu; działały niewiasty z Ż. O. Strz. oczywiście z pomocą miejscowego społeczeństwa.

Pamiętam, że w Jabłonkowie pracowały: Zośka Endlówna, Janka Fleszarówna (ob. Wójcicka), Hanka Gregorczykówna (ob. Cichocka), Tosia Krzymuska (ob. Kołłątaj-Srzednicka) z Władką Seretną w herbaciarni w Nawsiu; Maria Kuśnierczykówna, Żancia Łakińska, Gusta Mikocka, Millerówny Stefania i Halina (ob. Pomazańska), Bronka Pawłowska, Maria i Michalina Pazurkiewiczówny, Natalia Rudzińska, Marysia i Zosia Skrzyszowskie, Samborowa (Skrzyńska), Bolka Słaboszówna (ob. Choińska), Janka i Łusia Sługockie. Nadto Bolesława Grzędzińska i Janina Olszamowska, matka śp. Janusza, który zginął jako adiutant Marszałka w ofensywie kijowskiej.

W Trzyńcu w warsztatach i biurach pracowały: Janina

Burjanówna (ob. Pawlewska), Sonka Kossuth-Lorecowa i inne.

Były jeszcze sanitariuszki: Eugenia Staszewska, dr L. Woyczyńska, Leonia Kaszerówna, Alina Pytlewska (Szydłowska), Witoszyńska i wiele innych.

Podany spis nie może być kompletny, gdyż jak wspomniałam, nie było wówczas dokładnej rejestracji. Szczegółowe materiały znajdują się w Archiwum Wojskowym.

Niewiasty nasze pracowały z wielkim poświęceniem na wszystkich posterunkach.

Kiedy Komendant Piłsudski pozbawiony możliwości organizowania służby etapowej wydał rozkaz, aby kobiet na front nie brano, rozkaz ten został przyjęty przez nasze sanitariuszki, oczekujące powołania na front, z poczuciem krzywdy i żalu. Jednak kilka wykradło się w przebraniu męskim na linię bojową, jak: Ludka Kepisz-Daszkiewiczówna (sierżant, ob. zam. Kulikowska), Błaszczukówna Maria („Zaleski“, poległa w walkach legionowych), Stefka Jurkowska, Maria Wołoszyńska („Alfred“, ob. zam. Szolcowa), Zofka Plewińska (Smidowiczowa), Maryla Szczepkowska... Powiększyły one w szeregach liczbę kobiet, będących tam od początku sierpnia 1914, jak: Ludka Krobicka (sierżant, ob. zam. Modzelewska), Marysia Szyszłowska (Dana Sarmatowa, ob. zam. Alexandrowiczowa), Wanda Smolikówna (ob. Germain), Kazia Nowakówna, Stefa Fedkowiczówna (ob. Frołowiczowa), dr Wanda Wiśłocka.

Większość natomiast, bez względu na wytworzone bardzo ciężkie warunki pracy, pozostała w służbie sanitarnej lub pomocniczej przez cały okres wojny.

Po przełomowych dniach Legionów wiele niewiast z Ż. O. Strz. przeszło do P. O. W.; inne zakładały Komitety

Opieki nad internowanymi Legionistami, prowadziły konspiracyjną robotę polityczną, za którą nierzadko dostawały się do więzienia. Wiele też z nich zostało odznaczonych Krzyżem Walecznych, Krzyżem Niepodległości i Virtuti Militari.

TREŚĆ

I. Lwów 1914 r.	7
II. Kraków	15
III. Jabłonków	29
IV. W Nawsiu i w Szyglu	39
V. Kongresówka	53
VI. Znowu Lwów	67
VII. Polska Niepodległa	83
Przyczynek do służby kobiet w Legionach	101

EDWARD ŚMIGŁY RYDZ

BYŚCIE O SILE NIE ZAPOMNIELI

ARTYKUŁY — MOWY — ROZKAZY

Str. 308

Zł 3,80

„Poza pismami Marszałka Józefa Piłsudskiego staje się książka ta jednym z najważniejszych dokumentów, ogłoszonych w Polsce po wojnie 1920 roku“.

W. D.

Naród i Wojsko.

„Tacy ludzie mają prawo mówić swym społeczeństwom: „Byście o sile nie zapomnieli“. Nie powinna być również zapomniana ta książka“.

A. M.

Jutro Pracy.

KSIAŻNICA - ATLAS * LWÓW - WARSZAWA

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

LAUREAT NAGRODY PAŃSTWOWEJ W ROKU 1936

WOLNOŚĆ TRAGICZNA

RAPSOD O JÓZEFIE PIŁSUDSKIM

Str. 64

Wydanie II

Zł 4, —

„Poemat o współczesnej Polsce, w którym przedziwnie pięknie balladową tajemniczość mitu stopił poeta z bryłą realizmu, jest najwybitniejszym dziełem Kazimierza Wierzyńskiego, przedstawia nam nowego, jeszcze niezupełnie dobrze znanego twórcę, który Wolnością tragiczną staje na czele współczesnej poezji“.

St. W. Balicki

Il. Kurier Codzienny.

KSIĄŻNICA - ATLAS * LWÓW - WARSZAWA

JULIAN WOŁOSZYNOWSKI

BYŁO TAK

POWIEŚĆ O HISTORII POLSKI

Str. 302

Zł 7,—

„Książka Wołoszynowskiego posiada sugestywną siłę, głęboką poezję, moc słowa i nastrój. Jest to jeden z najwspanialszych poematów o naszej historii“.

A. Bar

Polska Zachodnia.

„Wskrzesza w cudowny sposób przeszłość, która odżywa, jak na obrazach Matejki, i staje w pełnym blasku“.

J. N. Kłosowski

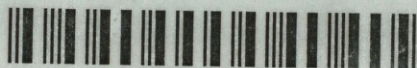
Myśl Polska.



KSIĄŻNICA-ATLAS * LWÓW-WARSZAWA

Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej

9988/1



11-009988-000-0

E